Nr. 44 (1244). Warszawa, 16 (29) Października 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świat ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Apolinary Jaworski

Podczas odprawiającego się sejmu d. 24 b. m. zmarł nagle we Lwowie człowiek najwybitniejsze stanowisko obywatelskie w Galicyi zajmujący, prezes Koła polskiego Jaworski. Miał już lat prawie ośmdziesiąt, a jeszcze na stanowisku swojem nie był słomianym człowiekiem, ani manekinem: śmierć zaskoczyła go wśród pracy w sejmie, po rzetelnej pracy w Kole. Bardzo pilny, pracowity, przytem uczciwy, co dla każdej gwiazdy galicyjskiej pochwałą już być musi, przez lat kilkadziesiąt biegał, uwijał się, krzątał po arenie publicznej, z nigdy nieodstępną uczciwością i pracowitością. I gdyby do zasługi, choćby tylko takiej, jaką dać może użyteczność, wystarczały te dwa Jaworskiego przymioty; gdyby nawet niezaprzeczone jego zdolności umysłowe rozwinęły się w nim były w taki rozum stanu, jaki człowiek publiczny bezpaństwa mieć może więc mieć powinien — mniej zagadkową wydawałaby się ta prozopopeja pośmiertna dzienników galicyjskich i niegalicyjskich, w której potykamy się już nietylko o „straty", ale i „żałoby narodowe," już nietylko o „zasługi" i „rozumy", ale wręcz o „walące się w grób kolosy."

Ale, ponieważ ani praca i poczciwość, — najczęściej źle rozumiane, — ani zdolności umysłu, — najczęściej, w nas mianowicie, Polakach, niekrystalizujące się w talent rozum i mądrość i raczej po całej istocie duchowej w jakąś drobną, zdawkową wyższość w życiu rozlane — nie wystarczają na wytworzenie zasługi publicznej, powszechnej; ponieważ zmarły nic takiego nie zrobił, coby dzięki tylko jego zdolnościom, poczciwości i pracy przyniosło Galicyi, jako powszechności, rzeczywisty a trwały pożytek — wszystkie więc te pochwały nadgrobne, przeważnie od pełnej krwi i półkrwi Stańczyków wychodzące, sprawiają na nas wrażenie chórów i muzyk, najmowanych na pogrzeby i zazwyczaj serdeczniej nawet żałość swą nad nikczemnikiem, byle bogatym, niż nad cnotliwym wygłaszających. Przewagę w neniach obecnych ma żądza stronnicza, natchnienie dla pośmiertnych stylów czerpiącą z doczesnych interesów. Interesy te są jądrem, żałość po Jaworskim tylko łupiną. Chwali się go, bo się kocha samego siebie, swoje dążności, zasady, nałogi dążeń ujmowanych w zasady, zaspakaja się własny swój apetyt, myśli tylko o sobie, czuje tylko dla siebie. Zresztą, wykształtowana w stan panujący w dobie pełnego życia dziejowego ta część narodu, która się szlachtą nazywa, podawnemu, mimo straszliwego rozbicia i niewysłowionych nieszczęść wciąż jeszcze uważająca się i działająca za naród cały — ta część narodu w Galicyi rzeczywiście utraciła w Jaworskim i rzetelnego robotnika i nietekturowego przewódcę, i może go też szczerze żałować. Lecz co ma przynieść nie część, ale całość, co samowiedza narodowa w jednostce żywa na ten pogrzeb i nad ten grób? Przyniesie zgrzyt.

Zgrzyt dla żywych, których Jaworski po sobie zostawia. Człowiek, który umyślnie staje na uboczu, aby ogarnąć całość — na te wszystkie straty, te zasługi, te żałości patrzy jakby na wewnętrzną tylko sprawę familijną Stańczyków. Swego utracili, swego żałują: zapewne, prywata uczciwa, ale prywata. Ze stanowiska rzeczywiście publicznego ocena działalności zmarłego, jak całego stronnictwa, może dać wynik tylko ujemny. Im był lepszym w stronnictwie, tem był gorszym w powszechności, bo samo stronnictwo jest złem, samo stronnictwo swój interes stanowy podaje za publiczny, samo stronnictwo nie przestaje, jak w czasach zamętu w Rzeczypospolitej, odśrodkowym ruchem uciekać od tego ogniska, gdzie się żarzy interes wszystkich, gdzie się rodzi i rośnie i mężnieje, coraz doskonalsze w idących po sobie pokoleniach, poczucie i pojęcie narodu. Człowiek nienależący do żadnego stronnictwa, chyba do tego, które naokoło siebie tworzy błogosławiona światłość prawdy, wespół z przerażającą mocą rzeczywistości, przez ten obłęd Jaworskiego, który po za interesami jednego stanu nie pozwalał mu widzieć całości złożonej z wszystkich, a w maluczkich dążeniach na dziś dla siebie nurzał starania o jutro dla wszystkich, — dobiera się już nie do jego osoby, zupełnie obojętnej, ale do całego tego tłumu, tej kupy swawolnej, z którą on razem grzeszył.

A w tem, co nagrzeszyli Stańczycy przez lat czterdzieści już prawie od chwili ustalenia samorządu, najcięższym grzechem nie jest to, czego dobrego nie zrobili, a co zrobili złego dla Galicyi; nie to, że władzę uporczywie trzymają w swych ręku, a w ciałach wyborczych zabiegami tamującemi wolność wyrabiają sztuczne za sobą większości; nie to, że we Lwowie nie chcą rządzić postępowo, a w Wiedniu nie umieją należycie bronić swej prowincyi i korzystać z jej liczebnej i mięśniowej siły; nie to wreszcie, że zmarnowali, najdroższy w życiu czas, i marnują drogie każdemu społeczeństwu istot rozumnych instytucye: ich grzechem pierworodnym jest ich sobkowstwo, jest brak w nich ogólnie-społecznej myśli i społecznego serca. Sobkowstwo to ich znieprawia, sobkowstwo daje im tę małość, ten styl ciągłego kurczenia się

w zagadnieniach idealnych a rozpościerania w realnych, zapewniających zwartość w stanie i utrzymujących stan przy władzy. Jest to ciągłe podstawianie wartości mniejszej za większą. Część nie przestaje uważać się za całość, ale ten fałsz sam nad nią się mści: Stańczykowstwo malejąc, drobnym, folwarcznym promieniem zakreśla koła potrzeb i dążeń ogólnych. Z sobkowstwa i małości wynika ten brak obywatelstwa, ta posucha w mowach, bezkrwistość w czynach, obojętność na rzeczywiste potrzeby — cała ta odporność na myśli i zamysły, zmierzające do dobra całości przez dobro najprzedniejszej jej części — ludu, ta wreszcie nienawiść do stronnictw postępowych, niewzdragająca się nawet przed ohydą. A końca jeszcze tego monopolu stańczykowskiego nie widać.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zagrzmiały działa na morzu — w Europie. Druga eskadra Oceanu Spokojnego, zabawiwszy dni parę na wodach duńskich — przyczem przewozowce zaglądały do Kielu, a jeden okręt przepłynął przez kanał ces. Wilhelma — przeprowadzona przez lotsmanów pruskich, nabrawszy węgli, znalazła się d. 20 na morzu Północnem. Tu, w punkcie bliżej oznaczyć się niedającym, sto kilkadziesiąt większych statków, bark i łodzi rybackich z Hull zajętych było połowem, w dwu dość odległych od siebie oddziałach. Flota przepłynęła spokojnie obok północnego, ale południowy ją zainteresował, gdyż jak donosi dowódca eskadry, Rożestwienski, zauważono tu dwa obce torpedowce, które płynęły do ataku bez świateł pod osłoną ciemności na główny okręt eskadry. Od dwu miesięcy wywiadowcy wojenni na pobrzeżach skandynawskich donosili o Japończykach, uwijających się to na lądzie, to na morzu. Dowódca eskadry, Rożestwenskij (a nie Rożdestwenskij), kazał dać ognia. W Londynie, w całej Anglii stał się wielki rozruch.

Z Berlina i Paryża pospieszył zaraz telegraf z zapewnieniem, że było to tylko nieporozumienie, nikt bowiem nie myślał admirała, pomimo nienawiści do Anglików, posądzić o zamiar napaści świadomej i to jeszcze na rybaków, zajętych połowem. Chociaż ze stanu rzeczy, z całego przebiegu wypadku dyplomatyczne położenie Anglii jest bardzo jasnem, rząd angielski jednak, działając z niezmierną powściągliwością, staje chętnie sam przez się niejako w roli podejrzanego o japonizm i prowadzi dowód, że łodzie rybackie nie miały złych zamiarów. Przy tym kardynalnym warunku wszelkiego porozumienia się dobrowolnego, nienarzuconego przez konieczność, wyjaśnienie zapowiadające i czyn ustalający zasadę długo na siebie czekać nie każą.

Na widowni mandżurskiej nie było nowych wydarzeń po 19 b. m. Są wprawdzie doniesienia o starciach, ale małego znaczenia. Obie strony niesłychanie wyczerpała bitwa, dla której zgodnie z przewidywaniem strategicznego planu gen. Kuropatkina możemy mieć tylko nazwę bitwy nad Sza-ho w środku i na prawicy środka, bitwy zaś o drogę żelazną i Hun-ho na lewicy. Według depeszy mukdeńskiej, a zatem nienlegającej najlżejszym nawet w danym wypadku powątpiewaniom, straty rosyjskie wynoszą czterdzieści kilka tysięcy; według depesz z Charbina, ranionych wywieziono z widowni walki na północ do d. 23 b. m. — 26,000. Jest to już osłabienie armii, tłomaczące bezczynność rzeczywistą aż do 25-go zrana. Straty japońskie z powodu postawy odpornej są niezawodnie mniejsze od rosyjskich, chociaż równie bardzo ciężkie. Owo stanowisko górujące nad Sza-ho, o które toczyła się walka tak zacięta w d. 13—16, zakończona zwycięztwem rosyjskiem, samo jedno pożarło kilka tysięcy wojska japońskiego, w zabitych i ranionych; buletyn rosyjski mówi o 1,500 poległych na wzgórzu — nazwano je od nazwiska pułkownika Putiłowskiem — które przeszło już do historyi.

W najważniejszej zawsze, choć przez zwykłego czytelnika lekceważonej, sprawie ruchów wojsk obustronnych, ostatnie depesze z d. 25 b. m. przynoszą wskazówki, pozwalające wnioskować o ruchu wstecznym Japończyków tak wielkim, że wypadałoby już teraz cały ich plan działań sprowadzić do obrony Taitsi-ho i Liao-jangu, prowadzonej tylko jeszcze na północnym brzegu rzeki. Skupianie się Rosyan u wąwozu Kao-tulińskiego, pomykanie pewne ku Pan-jan-pu-tse (Banjapudza) uniemożliwiłoby nawet trzymanie się Kurokiego na wschodzie, nad rzeczkami górskiemi, wpadającemi około Fu-szun-czóngu do Hun-ho. Wogóle cały układ przestrzeniowy sił japońskich, w razie opanowania pomienionych miejscowości, musiałby się przesunąć ku południu, ku linii równoleżnikowej Jantaju. Dokonywając zaś tego odwrotu, Japończycy wydaliby cały obecną widownię wojny gen. Kuropatkinowi. Dlatego walki o powyższe wąwozy wydają się nam najpierwszemi na porządku dziennym wojny. Wszystko wszakże, coby przewidywaniem poważnem być mogło, musiałoby się znaleźć w ścisłej zależności od rzeczywistego położenia obu bocznych skupień japońskich; tych zaś nie znamy, nie wiemy, jak rzeczywiście rozłożeni są Japończycy na zachód i na wschód osi, przecinającej Mukden.

Z pod Portu Artura Japończycy odesłali 80 dział za słabych na potężne warownie i sprowadzili nowe, oblężnicze. Z nich utrzymują codzienny, niejednostajnie wszakże natężony ogień. Ujawnia się ciągły, choć bardzo powolny postęp prac oblężniczych, i przewidywać należy, może jeszcze przed niedzielą, nowy szturm. Na zachodzie trzyma się Liao-te-szan, na wschodzie Złota Góra — dwie jakby pomniejsze twierdze w większej. Depesze z portu zapewniają o doskonałym duchu. Garnizon zeszczupiał już do sześciu tysięcy. Depesza zapewnia, że twierdza ma pod dostatkiem mięsa świeżego z koni i osłów.

Petersburg 25 paźd. Na miejsce adm. Aleksiejewa, pozostawionego nadal na namiestnictwie Dalekiego Wschodu, zamianowany głównodowodzącym wojskami w Mandżuryi gen. Kuropatkin.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Czy opowiadanie to nie przypomina hiszpańskich satyr z XVI wieku i czy nie potwierdza mniemania, że pod każdą szerokością w środowiskach ludzkich jednakowe przyczyny wywołują jednakowe skutki? Czy np. spółcześni „mungak" korejscy nie są podobni do niemieckich knechtów, polskich dworzan magnackich, do hiszpańskich popleczników albo rzymskich „klijentów". Wszystkich jednak, wyjąwszy rosyjską „opriczynę" przewyższyli oni w zuchwałości i gwałtach. „Mungak" są to ubodzy jan-baniowie, grupujący się dokoła bogatych i wpływowych urzędników; należą oni zwykle do

Knut Hamsun.

ARCYFILUT.

(Dokończenie).

jednej chwili złagodniała, stała się potulna i usiadła. Ale nie mogliśmy prowadzić żadnej rozmowy. Jeżeli jej zadałem jakie pytanie, zanuciła urywek jakiejś piosenki lub zapaliła nowego papierosa, zanim mi dała odpowiedź. O dawnych czasach nie chciała słyszeć. — Stare, śmierdzące podwórze, jest też o czem pamiętać!.. Czy może wynieść posługaczce trochę wina?

— Rozumie się!

— Muszę się panu przyznać, że to moja matka — powiedziała. Ona obsługuje nas, dziewczęta. Ja jej postarałam się o tę posadę. Zarabia dużo.

Wyniosła wino i wróciła.

— Zdrowie, dawny przyjacielu! — zawołała.

I wychyliła kieliszek.

Znowu pchała mi się na kolana.

— Nie jest-że tu nudno? — zapytałem.

— Nudno? Nie. Dlaczego nie mogę siedzieć u ciebie na kolanach?

— Jak dawno jest tu pani?

— Nie wiem. Mniejsza oto. Zdrowie!

Znowuśmy wychylili kieliszki. Poczem zaśpiewała bez głosu jakieś głupstwo.

— Gdzie się pani nauczyła tej piosenki?

— W Tivoli.

— Bywa tam pani często?

— Tak, ile razy tylko mogę. Ale teraz nie mogę. Właścicielka chciała dziś odemnie pieniędzy. Właścicielka bierze taki duży procent; tyle pieniędzy bierze od nas, że nam nic nie zostaje. — Może byś mi mógł dać coś pieniędzy?

Na szczęście miałem pieniądze.

Przyjęła je bez podziękowania i bez śladu wzruszenia; chyba w głębi odczuwała przecież pewną radość. Prosiła, abym zażądał jeszcze jednej butelki wina. Sądziła, zdaje mi się, że powinna ograbić mię doszczętnie.

Zjawiło się wino.

Teraz chciała się pochwalić; przyszła jej ochota zwołać koleżanki i poczęstować je winem. Weszły wezwane. Miały na sobie krótkie, sztywne spódnice, szeleszczące za każdym ich ruchem, ramiona odsłonięte, włosy krótko ostrzyżone.

Elina przedstawiła mnie, a pamiętała dobrze moje nazwisko. Powiedziała im, że dałem jej dużo pieniędzy, że byłem jej dawnym przyjacielem i że może prosić mnie o tyle pieniędzy, ile jej się będzie podobało, a dostanie; i zawsze tak było — taki jestem bogacz.

Dziewczęta piły i wpadły także w dobry humor, prześcigały się w mówieniu dwuznaczników i jak szalone śpiewały różne piosenki. Elina okazywała zazdrość, ilekroć słowo jakie rzekłem do której z nich i stała się dziką, nieznośną. Ale umyślnie podsycałem to jej usposobienie, chcąc ją doprowadzić do większej szczerości i rozmowności. Nie osiągnąłem jednak zamierzonego celu, rzucała głową i zabrała się do jakiejś roboty. Nakoniec wzięła okrycie, jak gdyby wyjść chciała.

— Wychodzi pani? — spytałem.

Nie odpowiedziała mi, lecz nucąc coś z miną wyższości, włożyła papelusz. Nagle otworzyła drzwi do sieni i zawołała:

— Gino!

Było to imię jej matki.

Drepcąc w dużych pantoflach, weszła, zapukawszy poprzednio i stanęła u drzwi.

— Masz ścierać kurz z komody, co dzień, mówiłam! — krzyczała Elina. — Co to za świństwo! Z takiem sprzątaniem niedaleko zajedziesz ze mną rozumiesz? A fotografie tamte także codzień trzeba ścierać.

ich rodów i w oczekiwaniu na miejsce pełnią drobne posługi przy nich, znoszą plotki, czytają głośno książki, bronią panów w razie zatargu lub napadają według rozkazu na ich nieprzyjaciół. Przedpokój znakomitego Korejczyka zawsze pełen tych ludzi, którzy powiedziawszy mu z rana „dzień dobry“, uważają się już dzień cały za jego gości, jedzą i piją u jego stołu, palą jego tytoń, dodzierają jego ubrania, piszą jego pędzlami i nawet, o ile się da, wydają jego pieniądze... Najpotężniejszy dygnitarz nie ośmieli się ich wygnać. Zresztą w tym kraju gwałtów, bezprawia, przemocy oni potrzebni, gdyż właściwie są tą pięścią, która jedynie tu rządzi, są wreszcie sztabem, z którego urzędnik może wybrać wierne, na wszystko gotowe sługi i urzędników. Muń-gäkówie i słyną przedewszystkiem z umiejętności zdobywania pieniędzy. W tym celu często chwytają poprostu zamożnego kupca lub rzemieślnika na ulicy albo, wpadłszy w nocy do jego domu, uprowadzają go do jakiej kryjówki, częstokroć do domostwa swego zwierzchnika. Tam trzymają jeńca, biją i morzą głodem, żądając okupu. Ma to być niby pożyczka, ale nie było wypadku zwrotu takiej pożyczki. ...Muń-gäkówie nieraz podstępnie niby nabywali u ludzi prostych ich domy albo posiadłości i odprzedawali je niezwłocznie innym, nie zapłaciwszy grosza istotnym właścicielom. Część zdobyczy zabierał zwykle możny opiekun muń-gäków i wskutek tego nikt nie odważał się zaczepiać, nawet skarżyć się na krzywdzicieli. Zresztą byłoby to naprózno. [1])

Wogóle dawniej jań-baniowie a obecnie ich dziedzice — urzędnicy dręczą i obdzierają lud, ile się da, zachowują się zawsze i zachowywali tak, jak gdyby półwysep dla nich był wyłącznie stworzony i nie istniały na nim nigdy ani inne sprawy, ani inne prawa prócz ich zysków i samowoli. Reforma 1894 roku rzuciła popłoch na całą tę zgraję, ale trwało to krótko; z osłabnięciem wpływów japońskich wszystko wróciło do dawnego porządku. I. I. Biskop już po reformie powiedziała z goryczą na jednym z odczytów w Seulu, że „w Korei istnieją tylko dwie klasy ludności: rabusie i rabowani. — „Ci co mieszkają w stolicy nie mogą wyobrazić sobie tego, co się dzieje w innych częściach kraju!“ biada sprawozdawca angielski, wymieniając cały szereg nadużyć, z których przytoczę parę.

„W mieście So-heung, o 120 mil na północ od stolicy, 5 urzędników w ciągu 5 lat pobrało 14,000 dol. nieprawych podatków. Dwa lata temu, gdy zostały wprowadzone reformy, obywatele poskarżyli się ministrowi spraw wewn. i tych 5 urzędników aresztowano i odesłano do Seulu. Ale wkrótce powrócili oni do swych zajęć; ludność jednak wzburzyła się przeciw temu i zmusiła do naznaczenia komisyi pod przewodnictwem gubernatora. Komisya uznała skargi ludności za *słuszne* i rozkazała 5 urzędnikom zwrócić część nieznaczną zabranych 14,000 dol. Gubernator zapłacił rządowi 4,000 dol., 1,800 dol. zwrócono ludowi, a 2,700 dol. wydano *pewnej osobie*... Obywatele nie zadowolili się tym wyrokiem, lecz gubernator kazał aresztować protestujących i 4 z nich, jak się okazało, przetrzymał całą zimę w więzieniu.“ W tym samym artykule czytamy fantastyczną zaiste historyę pewnego spadku: „Student miejskiej szkoły Konfucyusza, zmarły 12 lat temu, podarował szkole *dwa akry* ziemi. Rzecz chwalebna. Po upływie 5 lat od jego śmierci szkoła zarządała *trzystu czterdziestu* akrów od okolicznych włościan. Na protest właścicieli nie zważano i dopiero ostatniemi czasy (w roku reformy) grabież została zwrócona. Lecz obecnie władze szkolne znowu zagarnęły ziemię, twierdząc, że rozporządzenia ministeryum spraw wewnętrznych z owego czasu (z roku reform) nie mają teraz *znaczenia*. Odebrano włościanom oba wyroki stary i nowy i zmuszono ich do ustąpienia z pól.“

„W prefekturze w pobliżu Czemulpo, pisze inny sprawozdawca, pobierano 10% po nad całość podatków na rzecz „gońców urzędowych.“ Podatek ten został zniesiony przed 4 laty (w roku reform), ale obecnie nałożono go znowu i kazano włościanom nietylko zapłacić 10% nadwyżki za rok bieżący, lecz i całą *zaległość*, choć, lud w tej okolicy ucierpiał od głodu. I zapłacili. Szemrali trochę, lecz zapłacili... O zwierzchnikach swych i gońcach urzędowych mówią Korejczycy, gdy ci przechodzą: „oto, idą zbóje!“ lub tym podobnemi częstują przezwiskami, lecz... słuchają ich.“

Do najbardziej może znienawidzonych poborów, należy nieprawnie pobierana zwyżka na „gońców urzędowych. Została ona wzbroniona umyślnym ukazem cesarskim, mimo to „ze wszech stron nadchodzą skargi, że ostatecznie dawne pobory wróciły w rozmiarach *dziesięć razy* zwiększonych,“ żali się inny sprawozdawca [1]). W Korei wprost roi się od ubogich, źle płatnych i rozwydrzonych urzędników. Jest ich wszędzie pełno i wtrącają się we wszystko, węsząc dla siebie łup i zabraniając tego, co nie obiecuje im zysku. Kupcy korejscy, rzemieślnicy i wieśniacy tak się boją ich chciwości i pomysłowości, że kryją się jak mogą ze źródłem swego zarobku i jego rozmiarami, udając ubogich. W tym celu każdy stara się, jak najmniej sprzedawać i kupować a, o ile można, wytwarzać wszystko w domu. „Aby skłonić wieśniaka do zasiania większej ilości zboża, muszą kupcy wydawać zadatki na przyszły zbiór, inaczej nie weźmie się on do pracy... Wogóle, nikt nie przyjmie najmniejszego zamówienia bez znacznego zadatku, „pisze znawca tych stosunków [2]). Pochodzi to z nędzy oraz z braku ufności do zamawiającego i własnej przyszłości — bo to tylko jest pewnem, co się ma w ręku. Ale i to nawet częstokroć niezupełnie. Oto przykład: Z dawien dawna urzędnicy zagarnęli handel mięsem. Dzięki temu, że starodawne prawo zabra-

[1]) Korean Repository, 1895 r. str. 367—369. Cytowane według „Opisu Korei.“

[1]) Tych „gońców urzędowych“ „sa-rion“, zwanych przez angielskich pisarzy „yamun runner“ (amun po korejsku—ministeryum oraz wszelki „zarząd“: z chińskiego — ja-myń), nie należy mieszać ze skorochodami i kuryerami (sangarime) pocztowymi, których utrzymały dawne poczty dla przewożenia przesyłek rządowych. Byli to zazwyczaj niewolnicy osadzeni na ziemi, należącej do stacyi pocztowej. „Sa-rion“ są to drobni urzędnicy zarządów prowincyonalnych i powiatowych, wysyłani ze szczególnemi poleceniami lub ważniejszymi papierami rządowymi. Prócz tego jeździ dużo innych urzędników korejskich; lubią oni bardzo takie podróże, połączono zawsze ze znacznym zyskiem. Każdy urzędnik znaczniejszy miał prawo do *trzech koni* bezpłatnych i świty złożonej z 6 ludzi pieszych, drobniejsi urzędnicy dostawali 1 lub 2 konie i mieli prawo do 2 lub 4 ludzi ze służby. Wszystko to jadło i piły darmo, na rachunek wiosek, gdzie się zatrzymywali; koni podwodowych brali zawsze więcej i przewozili w ten sposób bezpłatnie z jednego końca kraju na drugi towary, których sprzedaż w głuchych kątach dawała im nieraz znaczne zyski. Nie jest to bynajmniej zjawisko właściwe tylko Korei. Owszem w tych wysłańcach rządowych można się dopatrzyć mongolskich „baskaków,“ wysyłanych do zawojowanych prowincyj dla poboru podatków i przeglądu. To samo istnieje w Chinach, gdzie w dodatku urzędnicy nie opłacają likinu (podatku wewnętrznego) na rogatkach rzecznych i lądowych.

[2]) Korean Repository, 1897 r. str. 110.

Matka powiedziała „dobrze“ i chciała odejść. Miała twarz pomarszczoną i policzki zapadnięte. Słuchała córki pokornie i patrzyła na nią uważnie, aby nie zapomnieć żadnego z poleceń.

— Żebyś mi pamiętała!

Matka odpowiedziała znów „dobrze“ i wyszła, zamykając ostrożnie drzwi za sobą, aby nie stuknęły.

Elina stała wciąż ubrana, wreszcie zwróciła się do mnie i rzekła:

— Teraz najlepiej zapłacić za wino i pójść sobie.

— Dziękujemy! — odezwały się dziewczęta, dopijając swych lampek.

Zaskoczyło mnie jej żądanie.

— Wino? zaraz... zdaje mi się, że już dałem za wino, ale może mam jeszcze. I sięgnąłem do kieszeni.

Dziewczęta zaczęły się śmiać.

— Ha! ha! a to bogacz! Tyle pieniędzy dostałaś podobno od niego, Elino a teraz nie może zapłacić za wino! Ha! ha! ha!

Wtedy Elina wpadła w złość.

— Won! — krzyczała. — Nie chcę was tu widzieć więcej! Pieniądzy? On ma ich jak piasku! Ot, patrzcie, co mi dał! — I z tryumfem rzuciła na stół banknoty i srebro. Zapłacił i wino, i mnie, patrzcie! Nigdy nie widziałyście tyle pieniadzy na raz. Mogę zapłacić starej za dwa miesiące

rozumiecie! Powiedziałam to tylko, żeby go rozdrażnić, zażartować sobie z niego. A teraz precz, wynoście mi się!

Dziewczęta musiały wyjść. Elina, zamykając drzwi za niemi, śmiała się nerwowo, hałaśliwie.

— Rzeczywiście nie chcę ich tu mieć — odezwała się usprawiedliwiająco.

— Właściwie to nudne dziewuchy, z któremi nie żyję wcale. Czy one nie zdają ci się także nudne?

— Nie, wcale mi się takie nie wydawały — odparłem, chcąc ją jeszcze bardziej zawstydzić. Odpowiadały na moje pytania, mówiły, co chciałem o nich wiedzieć. Wcale miłe dziewczęta.

— Możesz i ty iść sobie także! — wrzasnęła. — Idź do tej, która ci się spodobała. Nie trzymam cię wcale! — Dla pewności jednak schowała pieniądze, rozrzucone po stole.

— Chciałbym cię tylko zapytać o coś, gdybyś zechciała posiedzieć chwilę spokojnie i słuchać.

— Zapytać się mnie o coś! — odparła z szyderstwem. — Nie mam z tobą nic wspólnego. Może znowu będziesz pytał o Hanię? To gadanie o Hani przyprawia mnie o wymioty. Nie mogę tem żyć.

A czy nie chciałaby pani wydostać się z tego życia? zapytałem.

Udała, że nie słyszy, poczęła znów biegać i sprzątać po pokoju, gwiżdżąc dla dodania sobie odwagi.

— Wydostać się z tego życia? — zapytała, stając nagle przede mną. Dlaczegóżto? Gdzież mam się udać? Za kogóż wyjdę, jak sądzisz? Któż będzie chciał wziąć taką, jak ja? A służyć nie chcę.

— Mogłaby pani przecież wyjechać stad, zacząć nowe życia.

Gadanie! gadanie! Bzdury! Czyś został misyonarzem. Dlaczego mam wyjeżdżać z kraju? Jest mi wcale dobrze, niczego mi nie brakuje pod żadnym względem. Słuchaj, możebyśmy jeszcze kazali sobie dać wina. Ale tylko we dwoje... bez tamtych... Gino! — zawołała, otworzywszy do sieni.

Zażądała wina, piła i stawała się coraz mniej przyjemną. Nie mogłem z niej nic wydobyć, bezustannie nuciła urywki piosenek, siedząc i dumając. To znów popijała, aż jej zachowanie stało się wstrętne. Kilkakrotnie pchała mi się na kolana, to wysuwała język, mówiąc: patrz! Nakoniec zapytała wprost:

— Zostaniesz tu na noc?

— Nie — odpowiedziałem.

— To ja wyjdę — odezwała się.

Opowiadający umilkł.

— Co dalej? — zapytałem.

— Co byś pan zrobił, gdyby panu po-

niało zabijania bydła rogatego bez zezwolenia władzy, zaczęli oni za znaczne wynagrodzenie sprzedawać prawo handlu mięsem specyalnym „dzierżawcom“, i ci tylko mogli nabywać bydło na rzeź oraz sprzedawać mięso w pewnej miejscowości. Choć rzeźnicy żyją wogólnej pogardzie, handlarze mięsem cieszą się powszechnym szacunkiem i zwykle należą do ludzi bardzo zamożnych. [1]) Otóż w 1897 r. naczelnik okręgu Kan-hoa jednego ze swych podwładnych zrobił handlarzem mięsa w Jan-cziu. Ministeryum przemysłu, rolnictwa i handlu, nie wiedząc o tem, za pewne wynagrodzenie oddało prawo na ten handel w tej miejscowości innej osobie. Kiedy ten ostatni przybył do Jań-cziu zabrał się do prowadzenia interesu, napadli nań policyanci z Kań hoa, związali i odprowadzili do kancelaryi naczelnika okręgu. Tam wsadzono go bez pytania do więzienia i następnie torturowano. Musiał nieszczęśliwy ratować swe życie i wolność wydaniem świadectwa ministeryalnego [2]).

Takich monopolów handlowych istnieje w Korei bardzo dużo. Wbrew prawu, które zabrania handlu jań-baniom, a więc i urzędnikom, ci tajemnie przez pośredników biorą udział w różnych przedsiebiorstwach, gnębiąc współzawodników we wszelki sposób.

Podatki i opłaty handlowe ściągane są bez żadnej kontroli, choć tysiące urzędników od rana do nocy pisze rozmaite „papiery“ i tysiące ludzi przewozi je z miejsca na miejsce. Mr. Hunt, komisarz fuzańskiej komory celnej, powiada, że najmniejsze kupno w Korei nie odbywa się bez opłacenia podatku „ku-muń.“ Podatek ten nigdzie nie jest wniesiony do ksiąg i sprawozdań skarbowych i nie wiadomo, na czyją korzyść i przez kogo jest pobierany.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

[1]) Ten sam brak sprawiedliwości w poglądach ludzkich widzimy w Europie w szacunku dla gorzelników, pędzących wódkę we własnych gorzelniach i w pogardzie dla szynkarzy, sprzedających ją.

[2]) *Independent* gazeta wydawana przez „Klub Niezależności“ w Seulu, cytowane według „Opisu Korei“. Część II, str. 222.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Obrona małoletnich w sądach pokoju warszawskich.— [illegible] — Brak samodzielności i inicyatywy wśród ludu miejskiego. — Ze spółek gospodarczo-handlowych wiejskich. — Oryginalna polemika. — „Tygodnik prowincyonalny.“

Czynem pięknym ozdobiła karty swych dziejów adwokatura warszawska: zwróceniem uwagi na straszne zaiste położenie przestępców i wogóle podsądnych nieletnich, oraz zorganizowaniem bezpłatnej ich obrony w sądach pokoju warszawskich. Krok ten zapobiegnie choć w części tysiącom dramatów, dziś na każdym kroku spotykanym podczas rozpraw sądowych, gdzie na mocy suchej, bezlitosnej litery prawa tyle młodych sił ginie dla życia normalnego, wchodząc w skład t. zw. mętów społecznych, odpychanych ze wzgardą przez ogół i zmuszonych tonąć w upadku i zbrodni. A ileż tu omyłek, ile chłopców i dziewcząt zostaje skazanych na zamknięcie w więzieniu, tej szkole zbrodniarzy li tylko wskutek nieporozumienia. Dzięki szlachetnemu wystąpieniu adwokatury w części przynajmniej zapobiegnie się złemu. Być może otrzymamy też inne ulepszenia, doczekamy się np. uregulowania pomocy prawnej dla niezamożnych, tak niefortunnie niedawno postawionej wskutek zniknięcia biur porady prawnej. Pokątne doradztwo, ta plaga naszych wsi i miast ustąpiłoby wówczas. Co się tyczy obrony nieletnich, jeśli przyjmiemy twierdzenie, że wraz z małoletnim na ławie oskarżonych zasiada społeczeństwo, to przyznać trzeba, że adwokatura warszawska choć w części odkupiła winę ogółu, wyrażającą się przedewszystkiem w krzyczącym braku szkół w kraju.

Niedawno przedrukowaliśmy z *Now. Wrem.* rzecz o szkolnictwie ludowem w Królestwie, dane urzędowe, więc bynajmniej nie pesymistyczne, z których dowiadujemy się, że w ciągu lat 20 do 1894 r. liczba dzieci, uczęszczających do szkół spadła z 31 na 27% w miastach i z 21 na 19% na wsi; że w 1899 roku do szkół chodziło ledwie 17% dzieci w wieku szkolnym, że wreszcie stosunki obecnie bynajmniej nie są lepsze. Jakże okrutnem wydaje się społeczeństwo, które nie dbając dostatecznie o podniesienie kulturalne i umysłowe dzieci, patrzy obojętnie na zamykanie ich do więzienia; jak naiwnymi wydają się publicyści, wymyślający różne środki ukrócenia objawu, tak z brakiem oświaty i kultury związanego, jak nożowiectwo. Warto zwrócić uwagę na nowe usiłowanie ministeryum oświaty — zapowiedziane otwarcie w wielu miejscach państwa seminaryów nauczycielskich dla zachęcenia do działalności pedagogicznej większej ilości włościanek. Czy nie pożądanem byłoby założenie u nas kilku takich seminaryów, przystosowanych do naszych warunków? Ten krok ministeryum należy tembardziej zaznaczyć, że — jak donosi *Gaz. Lubelska* — tutejsze władze szkolne otrzymały polecenie wyszukiwania wśród dziewcząt, kończących szkoły ludowe, najzdolniejszych na stypendystki rządowe. Wogóle posady nauczycielek ludowych mają być obsadzane włościankami po złożeniu przez nie odpowiednich egzaminów.

Druga matka zbrodni — nędza, dość nam się też daje we znaki. Prym pod tym względem trzyma oczywiście Łódź, gdzie niebywałe bezrobocie trwa dalej.

O rozmiarach tej nędzy trudno mieć dokładne wyobrażenie; dość powiedzieć, że takie wypadki, jak umieranie z głodu lub padanie z wycieńczenia na ulicy, bynajmniej nie stanowi tam rzadkości. Oto, jak się ta rzecz cyfrowo w przybliżeniu przedstawia. Pogotowie ratunkowe w Łodzi w ciągu letniego kwartału udzieliło 1,096 pomocy, w liczbie tej wypadków uszkodzenia zewnętrznego było 658, otrucia 51, poronień 10, poród 1, obłąkań 8, symulacyj 2; resztę stanowiły osłabienia ogólne bez wskazania przyczyn; o ile dodamy wyliczone powyżej rubryki, otrzymamy cyfrę 730; pozostałe więc 366 przypada na osłabienie z nędzy i głodu. Jeżeli nawet odrzucimy coś z tej cyfry, to z rubryk pozostałych musimy dodać wypadki, związane z nędzą i głodem, więc nie przesadzimy, jeśli cyfrę ludzi, padających *na ulicach* z głodu, podamy na *122* miesięcznie.

Wobec tej straszliwej gehenny cierpienia na gorzką ironię zakrawają środki zapobiegawcze. Wszystko patryarchalnie spokojnie załatwia się na drodze filantropii. Posłuchajmy zamieszczonego w *Rozwoju* sprawozdania z działalności chrześc. Tow. dobroczynności. Dowiadujemy się z niego,

---

stawiono taki wybór? Zostałbyś pan, czy poszedł? To kwestya. A wie pan, na co ja się zdecydowałem się?

Spojrzał na mnie.

— Zostałem.

— Został pan? — spytałem ze zdumieniem. — Przez noc? U tej dziewczyny?

— Nędzną mam duszę — odparł.

— Ależ u kaduka, co pan miał w głowie! Upił się pan?

— I to także — w końcu. Ale przedewszystkiem nie jestem gorszy i bardziej podły od innych, to grunt. Ona była kobietą, której historyę znałem, wzruszającą, wstrząsającą historyę... sprawiało mi rozkosz szczególniejszą wyuzdanie z nią właśnie. Rozumie to pan? I zostałem. A w jakiem morzu wyuzdania nurzaliśmy się!

Wstrętny cynik sam nad sobą głową kiwał.

— Zajdę jeszcze do niej — mówił dalej. Jeszcze da się coś zrobić... Co? myśli pan, że nie jestem do tego odpowiedni. Może nie jestem tak zły, jak się panu wydaje. Pamiętaj pan, że gdybym ja nie był został, przyszedłby ktoś inny, a na tej zamianie ona z pewnością wyszłaby gorzej. Gdyby mogła była sama wybierać, bezwątpienia byłaby mnie wybrała, jestem niewymagający a przyzwoity i nie przestałem ani na chwilę wzbraniać się. A ten rys mojego charakteru podniecał ją. Sama mi to powiedziała. — Tak ładnie się wzbraniasz — wyraziła się. Cóż było robić z taką kobietą. I pomyśleć, że taką stała się tylko dzięki owym kwiatom! To był początek. Gdyby wolno było zrywać kwiaty na grobach, byłaby dziś uczciwą kobietą. Ale schwytaliśmy ją, a ja w tem pomagałem.

Nakoniec ocknął się, jak gdyby z drzemki.

— Zapewne znudziłem pana. Sam czuję się zmęczony. Ale któraż to godzina?

Sięgnąłem po zegarek. Nie miałem go, zapomniałem widocznie wziąć z domu.

— Dziękuję, zresztą wszystko mi jedno — odezwał się, wstał, wyciągnął nogi, poprawił spodni.

Patrz pan, wraca ta zacna pani, żałoba się skończyła, dziewczynka nie niesie już kwiatów. Pozostały tam róże, kamelie — za cztery dni zwiędną. Jeżeliby jaka dziewczynka zabrała je na trzewiczki, myślę, że nie byłoby w tem grzechu...

Chwilę patrzył na mnie, podszedł bliżej i wybuchnął cichym, szerokim śmiechem.

— Patrz pan, jakie to historye można opowiadać takim jak pan!.. Tysiączne dzięki, szanowny słuchaczu!

Zdjął kapelusz i odszedł.

Siedziałem dalej, jak odurzony. Nasunął mi cały rój myśli i zakpił sobie z mojego zdrowego sensu. A to św.... całą noc spędził u dziewczyny!.. Dziewczyny? Przeklęte łgarstwo! na głupca mnie wystrychnął: jego wstrząsająca historya jest zmyślona od początku do końca. Ale cóż to za jeden, ten arcyfilut? Jeśli go jeszcze kiedy spotkam, posypią się drzazgi. Czytał gdzieś tę historyę i nauczył się jej na pamięć; niezgorsza była, chłop ma talent. Ha! ha! ha! a to mnie wziął na kawał!

Poszedłem do domu w niebezpiecznem zamąceniu umysłu. Pamiętałem jednak, że mam poszukać zegarka. Nie było go na stole. Nagle uderzyłem się w czoło: skradł mi zegarek! Naturalnie, zabrał mi zegarek, siedząc obok mnie. Ho! ho! a to piekielny chłop!

Miałem dwa wyjścia: donieść policyi, a po kilku dniach otrzymałbym napowrót zegarek. I zapewne wkrótce przyłapanoby złodzieja — albo przemilczeć sprawę.

I przemilczałem.

Z norwezk. przeł. *J. Klemensiewiczowa.*

że instytucyi tej udało się zebrać z dobrowolnego opodatkowania się fabryk na rzecz głodnych 15,750 rb., za którą to sumę, po dołączeniu do niej składek dobrowolnych, wydano 459,538 obiadów bezpłatnych i 129,751 funtów mięsa; obecnie żądania obiadów wciąż wzrastają, Tow. ma zaś na to zaledwie 3,000 rb. Słomiany ogień powoli gaśnie, składki maleją. Cała ta pomoc, to rzecz dorywcza i jak widać niepewna a zwalona na barki Towarzystw dobroczynności, mających swoje ściśle określone i zupełnie inne potrzeby i wydatki, jest wprost kroplą w morzu łaknącej nędzy. Słusznie też fejletonista *Gońca Łódzkiego* zaznacza całą utopijność nadziei, ażeby filantropia mogła zaspokoić potrzeby 15,000 ludzi (nie licząc ich rodzin), na co potrzeba byłoby 100,000 rb. miesięcznie przy rozdawaniu porcyj wprost głodowych. W tymże samym fejletonie znajdujemy trafną uwagę, że kilka lat temu, gdy groziła Łodzi drożyzna węgla, mogąca stać się przyczyną głodu kotłów parowych, wówczas nie szczędzono kosztów, staran, papieru i głosów, aby owej drożyźnie zapobiedz — i zapobieżono. Dziś, gdy idzie o ludzi, nikt nie stara się o to, nie pomyślano o stworzeniu jakiejś instytucyi pośrednictwa pracy, nawet nie poruszono tej kwestyi poważniej, nie zorganizowano spółki spożywczej lub pośrednictwa w nabywaniu produktów spożywczych aby powściągnąć wciąż rosnące na nie ceny. Słusznie też *Tydzień* piotrkowski zwraca uwagę, że w miastach naszych niema dotąd spółek gospodarczo-handlowych, tak świetnie rozwijających się po wsiach. Spółki takie są przecież na zasadzie § 47—50 kod. handlowego zupełnie możliwe i stałyby się niewątpliwie zawiązkiem żywszego ruchu współdzielczego. A czyż wśród mas robotniczych takiego samego ruchu pod hasłem solidarności i pracy, energicznej pracy nad podniesieniem kultury ich i oświaty nie dałoby się rozbudzić? Być może wówczas mniejby się widziało i nędzy, tysiące ludzi nie żebrałoby po ulicach i nie pozostawałoby na łasce filantropów.

Spółki gospodarcze na wsi rozwijają się wspaniale pomimo wielkich rzeczywiście trudności. Z *Tygodnia* dowiadujemy się, że w Kurowicach pod Tuszynem wszystkie czynności w spółce, począwszy od korespondencyi a kończąc na ważeniu zboża, załatwiają sami włościanie, pracujący tak, jak tylko człowiek uspołeczniony pracować może. Czy możesz sobie wyobrazić, czytelniku, to wszystko, z czem ci dzielni pracownicy muszą walczyć przy dużych obrotach spółki i mnóstwie spraw stąd wynikających? Wszakże oni nie znają zasad rachunkowości i ledwie mogą załatwić korespondencyę osobistą, a przytem obarczeni są ciężką pracą na roli? Otóż p. St. Skalski, znany działacz społeczny na prowincyi, rozumiejąc te trudności, podał projekt konkursu na podręcznik buchalteryjny dla spółek wraz z wzorami prowadzenia ksiąg, z zastosowaniem do poziomu umysłowości i pojęć włościan. Można było chyba oczekiwac energicznego poparcia tego projektu zarówno przez prasę, jak i przez same sfery interesowane. Tymczasem prasa, gorliwie reklamująca wszelkie konkursy poetyckie, rozrywkowe, towarzyskie itd., zupełnem milczeniem pokryła projekt p. Skalskiego, milczały też *Zorza i Gazeta świąteczna*, a uczestnik jednej ze spółek włościańskich, ks. K., ostro potępił wystąpienie p. Sk., jako przedwczesne, dowodząc, że członków naszych spółek przedewszystkiem należy nauczyć rolnictwa prawidłowego.

Niestety, częsty to objaw naszego życia społecznego, że nowy projekt odrzucamy nie dlatego, żeby był zły, lecz dlatego, żeby na jego miejsce postawić inny. Z drugiej znowu strony artykuł ks. K. wybornie charakteryzuje sposób rozumowania pewnego odłamu naszych działaczy społecznych, którzy nie mogą rozstać się ze stanowiskiem nauczycieli i wychowawców ludu. Dajmy temu ludowi nareszcie spokój; zaczyna on dobrze pojmować, co go boli i czego mu trzeba: sam też sobą jako tako rządzić potrafi. Pomożemy mu w sprawach, które sami bliżej znamy — dobrze, nie pomożemy — to on sam je pozna, tylko może trochę później.

Tymczasem musimy zaznaczyć coraz wyraźniejszy wpływ spółek na postęp rolnictwa i podniesienie kultury na wsi. Dla przykładu przytoczymy za *Gazetą Radomską* uchwałę spółki we wsi Sulejowie Klasztornym. Zebrani jednogłośnie postanowili:

1) zobowiązać się do krycia budynków dachówką cementową i do założenia we wsi Wielkowoli fabryki dla jej dostarczania;

2) zakupić ulepszone maszyny rolnicze oraz zboża na zasiewy przedniejszych gatunków;

3) rozpocząć hurtowne sprowadzanie nafty, soli, kaszy i żelastwa.

Można zauważyć, że spółki coraz częściej wchodzą w bezpośrednie stosunki ze sobą; tak np. czytamy w *Tygodniu*, że w okolicach Tuszyna dla wzajemnego uzupełnienia się w razie potrzeby zawarły bliższe stosunki handlowe „Świętojanka Redocińska“ i „Wiara“ w Kurowicach, przyczem ta ostatnia stanęła do współzawodnictwa z handlarzami zawodowymi, zakupując bezpośrednio węgiel kamienny.

Że wreszcie dbają one także o podniesienie poziomu umysłowego swoich członków, świadczą zebrania spółki Kneperowskiej, na których zawsze odbywają się pogadanki o wszelkiego rodzaju udogodnieniach i ulepszeniach rolniczych.

Na zakończenie rachunków przytoczę za *Echami Płockiemi i Włocławskiemi* protest przeciwko zbyt już bezwzględnemu „nożowiectwu literackiemu *Gońca* warszawskiego, który swój dodatek, zatytułowany „tygodnik prowincyonalny,“ zapełnia przedrukami z pism prowincyonalnych, nie podając zupełnie źródła w wielu razach. Zarzut ten nie będzie prawdopodobnie miał innych następstw, jak dalsze stosowanie owego „nożowiectwa,“ które wżarło się w życie dziennikarstwa warszawskiego.

J. Dąbrowski.

LISTY GALICYJSKIE.

Szkolnictwo ludowe. — Nędza nauczycieli. — Sprawa reformy wyborczej w sejmie.

Sprawozdanie Rady szkolnej, krajowej, przedstawione sejmowi, znowu uprzytomniło ogółowi smutny stan i bardzo powolny postęp szkolnictwa ludowego w Galicyi. W porównaniu z krajami Europy Zachodniej, a nawet prowincyami niemieckiemi i czeskiemi Austryi, także Śląskiem Cieszyńskim szkolnictwo ludowe Galicyi wygląda opłakanie. Liczba dzieci w wieku lat 6—12 niepobierających żadnej nauki wynosi w tych gminach, które bądź same posiadają szkołę czynną, bądź leżą w zakresie takiej szkoły, jeszcze część siódmą (14.45%) — 139,007. W porównaniu z rokiem ubiegłym liczba ta w każdym razie zmniejszyła się, ale stosunkowo nieznacznie, bo tylko o 5.79%. Ilość takich samych dzieci, ale już w wieku 13—14 lat stanowi obecnie więcej, niż czwartą część (26%) — 60,141. To zmniejszenie się w porównaniu z rokiem poprzednim wyraża się 6%. Liczba gmin bez szkół spadła w roku ubiegłym z 1062 na 981, a więc posiadających szkoły przybyło 81. W ten sposób, gdyby rozwój szkolnictwa ludowego w Galicyi postępował i w przyszłości z taką samą szybkością, dopiero po kilkunastu latach wszystkie gminy byłyby zaopatrzone w szkoły, a liczba dzieci, niechodzących do szkoły spadłaby do normy zachodnio-europejskiej.

Jakie są przyczyny tego powolnego rozwoju szkolnictwa ludowego w Galicyi? Rada szkolna, krajowa usiłuje wytłomaczyć to powodami takiej natury, jak ubóstwo gmin, używanie dzieci do pasania bydła na odległych pastwiskach górskich, zbyt niską liczbą ludności w gminach, niezwyczajną rozległością tych ostatnich, wyludnieniem z powodu emigracyi itp. Wszystko to oczywiście wpływa na zacofanie szkolnictwa, które, jak w każdym kraju ekonomicznie upośledzonym, dźwiga się bardzo powoli i wymaga pomocy od ciała ustawodawczego. Gdy jednak pomoc ta niedopisuje, stosunki w dalszym ciągu nie polepszają się tak, jakby należało. Ale po za takiemi „naturalnemi“ przyczynami zacofania szkolnictwa galicyjskiego istnieją i inne. Sprawozdanie Rady szkolnej wymienia np. „brak nauczycieli z powodu drożyzny.“ Niezupełnie zrozumiały ten frazes pokrywa rezultaty haniebnej gospodarki kliki stańczykowskiej, mianowicie płace głodowe nauczycieli ludowych. Wskutek niesłychanej nizkości pensyj nauczyciele opuszczają gromadnie szeregi swego zawodu, aby się przerzucić do posad, zapewniających jaką taką egzystencyę. Po ukończeniu więc seminaryum nauczycielskiego młodzież bardzo często wstępuje do straży skarbowej, żandarmeryi itd., nie widząc możliwości utrzymania się na stanowiskach nauczycielskich. Stąd z jednej strony słaby wzrost sił nauczycielskich wogóle, a z drugiej olbrzymia mnogość nauczycieli i nauczycielek, nieposiadających dostatecznych kwalifikacyj.

Liczba sił nauczycielskich doszła w roku sprawozdawczym (1902/1903) do 9,414, a więc w porównaniu z rokiem poprzednim jest większa o 627. Nauczycieli bez odpowiednich kwalifikacyi mniej jest o 24, ale nauczycielek tego rodzaju nawet więcej (o 9). Porównywając liczby te z ostatnich lat czterech, widzimy, że zmniejszenie się sił niewykwalifikowanych postępuje naprzód bardzo słabo. Gdy bowiem w r. 1898/99 było bez kwalifikacyj mężczyzn 184, a kobiet 1072, to w r. 1902/3 mężczyzn bez kwalifikacyj jest jeszcze 133, a kobiet 904. W roku sprawozdawczym 1902/3 ogólna liczba nauczycielek (4,832) przenosiła o 250 liczbę nauczycieli. Z ogólnej liczby 2338, o którą w ostatniem pięcioleciu powiększył się zastęp sił nauczycielskich, nauczycieli przybyło 733 (31.5%), to nauczycielek — 1595 (tj. 68.5%). Widzimy więc, że kobiety zajmują coraz więcej miejsc w szkole. Staje się to kosztem redukowania potrzeb życiowych i przystosowywania się do smutnego stanu materyalnego zawodu nauczycielskiego. To zapełnienie posad nauczycielskich przez kobiety, w znacznej liczbie nieposiadające kwalifikacyj, jest najwymowniejszą ilustracyą nędzy stanu nauczycielskiego w Galicyi. Usunięcie tej nędzy za pomocą podniesienia płac nauczycielskich jest obowiązkiem sejmu. Niestety jednak, większość sejmowa nie chce ani słyszeć o tem, pomimo domagań się tak samych nauczyciele, jak i wszystkich tych, komu leży na sercu podniesienie kultury kraju. Charakterystycznem jest, że komisya szkolna sejmu, składając referat o sprawozdaniu Rady szkolnej, nie proponuje żadnego wyjścia z tego stanu opłakanego. A więc w dalszym ciągu skargi nauczycieli ludowych będą głosem wołającego na puszczy i w dalszym ciągu dezercya będzie przetrzebiać ich szeregi, a posady szkolne będą zajmowane przez osoby, nieposiadające odpowiednich kwalifikacyj.

Sprawa reformy wyborczej w sejmie lwowskim została uśmiercona — i to dwukrotnie. I wniosek posła rusinskiego —

Oleśnickiego i wniosek ludowca — Stapińskiego odesłano do komisyi administracyjnej, skąd już oczywiście nigdy nie wyjdą. Oba wnioski chciały uczynić zadość domaganiom się szerokich mas ludowych, przyczem dr. Oleśnicki, pragnąc widocznie coś utargować, proponował nie powszechne, bezpośrednie, tajne i równe głosowanie, jak Stapinskiego, tylko V kuryę na modłę parlamentarnej. Wychodząc z oportunistycznych założeń, poseł Oleśnicki nawet tę V kuryę usiłował uczynić jak najmniej szkodliwą dla kliki panującej, gdyż projektował, aby z niej do sejmu wybierano tyluż posłów, co i do parlamentu. Ale nic nie pomogła skromność żądań — większość sejmowa głucha jest na wszelkie żądania mas chociażby w jak najszczuplejszym rozmiarze i wniosek posła Oleśnickiego został tak samo potraktowany, jak wniosek radykalny p. Stapińskiego.

Daleki.

Przynęty.

Poprostu stało się tak: gdy „reformatorka sztuki" wystąpiła publicznie bez... wszystkich konieczności potrzebnych i wymaganych od kobiet, zwłaszcza tańczących w krótkich sukienkach, samcy tak się zapatrzyli i zacietrzewili, że zapomnieli o wszystkich estetyczno-moralnych frazesach, na których ślizgają się po lodzie prasy. Oni zwykle w życiu pozwalają sobie na takie widoki ukradkiem, a tu mogli używać jawnie, jeszcze pod szyldem „najwyższych ideałów." Że przedmiot ich zachwytu miał „stopy płaskie, kolana grube a uda niezgrabne," to samcom nie zmniejsza przyjemności, skoro te „miłe brzydactwa" były nagie.

Więc recenzentom nie należy brać za złe: oni są także ludźmi, także samcami... Ten zaś wieczny głód męzki, który się nasycał w Filharmonii „żywem ciałem" w „artystycznych pozach," jest czemś tak oczywistem i powszechnie znanem, że nawet spekulacya przyzywa do niego swoje reklamy. Zechciejcie, jadąc tramwajem, obejrzeć rozwieszone w nim ogłoszenia. Zaraz na brzegu wisi tablica z młodą, ładną kobietą, której bogate kształty są tak obciągnięte ubraniem, że pod niem żaden drażniący wdzięk się nie kryje. Jest to wabik browaru. Dalej druga tablica również z młodą, ładną kobietą, której u góry i u dołu odsłonięto akurat tyle ciała, ile potrzeba, ażeby ludzki indyk nadął korale i zaczął szorować skrzydłami po ziemi. To koniak. Dalej inna tablica z młodą, ładną kobietą, która zalotnie przygląda się swoim kipiącym z gorsetu piersiom. To przynęta perfumeryi. Ile tablic, tyle podobnych obrazków. Wszędzie kupiec liczy nieomylnie, ze niczem pewniej nie przyciągnie uwagi samców (a może i samic), niż taką malowaną pokusą. A im ona pieprzniejsza, tem skuteczniej działa. Niedawno wchodząc do sklepu kolonialnego, spostrzegłem z ulicy w oknie wystawowem łanię reklamową fabrykanta czekolady.

— Dlaczegóżeś pan ukrył ją między butelkami? — pytam kupca.

— A bo z boku trochę za wiele rozpruta — bąknął zmieszany.

— Pokaż no ją pan — rzekłem.

Wyjął. Istotnie na tekturowej tablicy przedstawiona była kobieta w tunice niby greckiej, u góry głęboko wykrojonej a z boku rozciętej aż do biodra, naturalnie ukazując całą gołą nogę.

— Koniecznie chce — mówił zakłopotany — ażeby to całkiem pokazać za szybą, ale moja córka uprosiła... Zresztą ja sam trochę się wstydzę.

— A powiedz mi pan szczerze: czy takie obrazki pomagają do rozprzedaży towaru?

— Albo ja wiem... Chyba pomagają, bo przecie by ich nie robili. Czasem, to proszę pana, niejeden staruszek stanie przed wystawą, popatrzy na tę goliznę, wsunie się do sklepu i wykrzeczy:

— Proszę o ćwierć funta *tej* czekolady. Myśli, że ona mu wróci młodość. Doprawdy, panie.

Wobec tego uznać trzeba, że samcy w stosunku do swego apetytu są jeszcze skromni; bo przecie mogliby sobie wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne ściany domów wymalować takiemi i jeszcze narkotyczniejszemi uciechami.

Go—on.

Izby pracy.

Naturalnie towarzystwo reformy społecznej postawiło na porządku dziennym swego drugiego zjazdu, który właśnie obecnie odbywa się w Moguncyi, o którego rezultatach nie omieszkamy napisać w swoim czasie, kwestyę utworzenia w Niemczech „izb pracy" (Arbeitskammeren), których założenie obiecywały już znane i głośne dekrety cesarza Wilhelma II o kwestyi robotniczej w roku 1890. — Ta obietnica została do tej chwili martwą literą, wogóle Niemcy od owego czasu—rzecz uderzająca — nie zrobiły prawie żadnych postępów na polu ustawodawstwa robotniczego. W celu przygotowania dyskusyi towarzystwo reformy społecznej wydało kilka prac o istniejących już podobnych instytucyach w innych krajach*).

Przedewszystkiem trzeba zupełnie na boku postawić włoskie izby pracy. Przez wyraz „izby pracy" rozumie się bowiem powszechnie — a nie idzie tu przecież o zasadniczą słuszność, tylko o używanie terminologii — miejscowe lub okręgowe przedstawicielstwo obu stron, wchodzących w grę przy procesie wytwórczym: przedsiebiorców i najemników. Tymczasem we Włoszech nazwę tę przyjęły miejscowe lub okręgowe związki stowarzyszeń zawodowych, robotniczych — to, co w Niemczech nazywają „kartelami" (Gewerkschaftskartelle), a we Francyi — po części — „giełdami pracy" (bourses du travail). Pierwsza taka „camera" powstała w Medyolonie w r. 1890. Obecnie jest ich 73, a razem z 28 ogólno-włoskiem zjednoczeniami związków zawodowych tworzą one jedną armię w celu obrony swych interesów i odgrywają poważną rolę w życiu stronnictwa, do którego należą, a nawet państwa. Rząd przez pewien czas ignorował je zupełnie, lub nawet zwalczał; z nastaniem jednak „nowego kursu" pod ministeryami Zanardelli'ego i Giolittiego uznaje je o tyle, że nieraz pyta je o informacye i o zdanie doradcze w sprawach robotniczych i społecznych. Izby te zajmują się też pośrednictwem w otrzymaniu pracy, popieraniem szkół fachowych i ogólno-kształcących, uniwersytetów ludowych, czasami pośredniczą też przy zatargach fabrycznych, ale oczywiście nie z urzędu.

Również nie odpowiadają właściwemu pojęciu izby pracy instytucye, istniejące pod tą nazwą w Szwajcaryi. W Zurychu jest to poprostu rodzaj sekretaryatu robotniczego, założonego przez unię zawodową w celu wydawania informacyi, strzeżenia wykonania praw fabrycznych itp. W Genewie „izba pracy," utworzona prawem z r. 1895 i subwencyonowana przez kanton, zajmuje się prawie wyłącznie pośrednictwem w najmie i poradą prawną. Za to w tejże Genewie t. zw. „komisya centralna sądów zawodowych," złożona z 12 przedstawicieli przedsiebiorców i tyluż robotników, ma już cechy właściwej izby pracy, ponieważ z urzędu, wypowiada swe zdanie o rozporządzeniach prawodawczych i administracyjnych oraz projektach, dotyczących stosunków przemysłowych. Drugą podobną instytucyę, z atrybucyami rozszerzonemi na sądownictwo polubowne między przedsiebiorcami a robotnikami, na dozór nad wykonaniem ustaw ochronnych itp., ale niemającą znów nic wspólnego z sądami zawodowymi, stworzył w r. 1899 kanton Neufchâtelski.

Właściwie, prawnie istniejące „izby" lub „rady pracy" posiadają dotychczas: Belgia, Holandya i Francya. Najpierwsza założyła je Belgia: — rzecz charakterystyczna, ponieważ kraj ten na polu prawodawstwa pracy i wogóle mieszania się rządu w stosunki między kapitałem a pracą należy do najbardziej zacofanych. To też rady pracy były tam środkiem dorywczym i niejako rozpaczliwym, a zarazem swego rodzaju odczepnem dla opinii publicznej, wzruszonej zaburzeniami r. 1886. „Conseils de l'industrie et du travail," na mocy prawa z 16 sierpnia 1887 r. nie są zresztą wcale powszechne, lecz zakładane bywają z rozporządzenia królewskiego w tych okręgach, w których władza lub koła interesowane tego żądają. Dzielą się w razie potrzeby na sekcye podług fachów. Składają się z przedstawicieli fabrykantów i robotników w równej liczbie, wybieranych osobno przez każdą z tych grup na mocy prawa głosowania powszechnego wszystkich od lat 25. Każda sekcya wybiera sobie przewodniczącego i sekretarza, lecz rząd tak się śmiesznie obawiał tych, przez siebie samego do życia powołanych instytucyj, że przewodniczący nie może zwołać ani jednego posiedzenia sekcyi lub rady na własną rękę—musi za każdym razem prosić o pozwolenie stały wydział rady prowincyonalnej, od którego to w zupełności zależy! Cele rad są następujące: udzielanie opinii i informacyi rządowi oraz zbieranie danych o kwestyach przemysłowych i robotniczych, następnie — polubowne godzenie zatargów fabrycznych. Pierwsze zadanie wykonywane jest jako tako, chociaż na przeszkodzie stoi brak środków pieniężnych, z drugiem jest całkiem źle — ani robotnicy, ani przedsiebiorcy, nie liczą się z radami, nie zwracają się do nich. I zresztą, rady te wogóle nie rozwijają się, lecz upadają: w r. 1894 było razem 303 sekcye, w 1901 już tylko powstało 149 (w 76 radach).

Dość podobnie sprawa stoi w Holandyi. I tu „Kamers van arbeid" powstały w roku 1897 pod wpływem i pod wrażeniem smutnych rezultatów wywiadów rządowych o położeniu warstwy pracującej. Skład i zadania ich są takie same, jak w Belgii, tylko mają one nieco więcej formalnej przynajmniej swobody: prezes, którym jest przez pół roku fabrykant, a przez następne pół roku robotnik, zwołuje je podług swego uznania lub na żądanie $^1/_3$ członków, ale najmniej cztery razy w ciągu roku. Izb tych jest obecnie około stu. Oprócz tych samych zadań co belgijskie miały one popierać zakładanie stowarzyszeń fachowych itp. Ale rezultaty były i są może jeszcze mniejsze, niż w Belgii. Przedsiebiorcy holenderscy we wszystkich ważniejszych zatargach ze swymi pracującymi nie chcą wcale myśleć o jakichś sądach polubownych, zgadzają się na interwencyę izby pracy tylko w wypadkach bardzo podrzędnej wagi. A co do działalności naukowo-doradczej, to tej stoi na przeszkodzie zupełny brak środków finansowych. Rząd stworzył te instytucye, ale poważnie bynajmniej nie dba o nie.

Wreszcie francuskie „rady pracy" mają pewne cechy odrębne. Stworzył je w 1900 r. dekretem minister handlu i przemysłu, znany p. Millerand. Niektórzy przedsie-

*) Prof. R. Jay „Die Arbeitsräte in Frankreich." — L. Varlez „Die Organization der Industrie- und Arbeitsräte in Belgien." — Dr. Pinardi i dr. Schiavi: „Die italienischen Arbeitskammern. — Dr. B. Harms: „Die hollandischen Arbeitskammern." — Tegoż autora: „Deutsche Arbeitskammern " — projekty.

biorcy paryscy przy sposobności pierwszych wyborów wnieśli do rady stanu, będącej we Francyi najwyższym trybunałem administracyjnym, zażalenie nieważności i nielegalności samego dekretu, i rada stanu dopiero w rok potem skargę tę odrzuciła. Rady pracy we Francyi istnieją zatem bardzo niedawno, dotychczas jest ich zaledwie parę. Różnią się one od belgijskich i holenderskich tem, że w wyborze przedstawicieli nie biorą udziału wszyscy przedsiebiorcy i robotnicy danego okręgu, lecz wyłącznie zorganizowani w stowarzyszenia zawodowe. Miało to być jakby zachętą do organizacyi. Millerand bowiem kierował się z jednej strony we Francyi popularną dosyć dziś ideę obowiązkowych związków zawodowych (syndicats obligatoires), ogarniających wszystkich pracujących w danym zawodzie i miejscowości, z drugiej strony — wzorować się pragnął na stosunkach australskich. W Australii istnieją komisye z delegatów związków fachowych, przedsiebiorców i robotników z udziałem sędziów, mianowanych przez rząd, które w razie zatargu ustanawiają obowiązkowe warunki pracy na pewien okres czasu, za których przestrzeganie są odpowiedzialne, nawet materyalnie, te właśnie związki zawodowe obu stron. Otóż Millerand jednocześnie z owym dekretem, ustanawiającym rady pracy, przedstawił parlamentowi, jak czytelnicy może pamiętają, projekt ustawy, zawierający te części całego zamierzonego systemu, których na drodze administracyjnej przeprowadzić nie miał prawa: odtąd mianowicie wszelkie strajki mogły być wprowadzone w czyn tylko na mocy głosowania *wszystkich* robotników, zatrudnionych w danej fabryce, po zapadnięciu takiego postanowienia natychmiast wdawała się w sprawę okręgowa rada pracy, czyli przedstawicielstwo *zorganizowanych* pracodawców oraz robotników, i wydawało wyrok rozjemczy. System ten w całości swej nie podobał się świadomym kapitalistom i świadomym robotnikom, na tem ucierpiały i same rady pracy, które przecie mają swoją, choć skromniejszą, ale pożyteczną rolę niezależnie od tego systemu... nietylko bowiem zadanie naukowo-doradcze, czyli zbieranie i porządkowanie danych o jakimś okręgu pod względem przemysłowo-robotniczym w porozumieniu z departamentem pracy ministeryum handlu, ale także na podstawie tych właśnie swoich badań, peryodyczne dla danego okręgu, miejscowości i fachu ustanawianie t. zw. normalnych warunków najmu i pracy (wysokości zarobków, długości dnia roboczego). Oczywiście normy te nie są dla nikogo obowiązujące, ale mają jednak duże znaczenie moralne, mogą kształtować opinię publiczną; oprócz tego w jednoczesnym cyrkularzu minister polecał urzędom i zachęcał rady gminne i departamentalne, żeby w kontraktach, zawieranych z przedsiebiorcami robót i dostaw publicznych, zawarowywali te właśnie normalne warunki dla robotników.

Jak powiedzieliśmy jednak, francuskie rady pracy istnieją zbyt krótko, żeby o nich wyrokować. Osobiście zdaje nam się, że mogą się pomyślnie rozwinąć w swym skromnym zakresie działania. Co do belgijskich i holenderskich to ich niepowodzenie jest powszechnie uznane i stwierdzone. Jerzy Sydow, który omawia tę sprawę w przeddzień kongresu towarzystwa reformy społecznej, przypisuje je tej okoliczności, że w obu tych krajach izby pracy powstały przed wprowadzeniem poważniejszego ustawodawstwa pracy wogóle, trafiły więc na grunt zupełnie nieprzygotowany, spotkały zadanie dość nieokreślone, a przytem — oczekiwano od nich zbyt wiele. Należałoby szczerzej i wyraźniej powiedzieć: te środki prawodawcze były nieszczere i — w odosobnieniu swem — zupełnie niewystarczające. Sydow spodziewa się, że w Niemczech będzie inaczej, ponieważ tam już istnieje cały system praw ochronnych i ubezpieczeniowych. Nie chcemy nic przesądzać; zresztą, dyskusya na kongresie prawdopodobnie lepiej wyjaśni tę kwestyę. Ale nadzieje polityków racyonalnych, bezwątpienia przesadne, ponieważ od izb pracy oczekują, przynajmniej niektórzy z nich, głównie interwencyi kojącej w zatargach, wydają nam się dość utopijnemi właśnie dlatego, że w Niemczech obie strony w dziedzinie walki ekonomicznej są silne, posiadają doświadczenie, świadomość określoną i pewne własne narzędzia i organy. Jeśli w Belgii i Holandyi na poważne izby pracy było zawcześnie, to w Niemczech — kto wie, czy nie zapóźno. Kto wie, czy izby pracy staną się ciałem pomimo zapowiedzi cesarskich z r. 1890, pomimo życzeń, wypowiedzianych w tym duchu przez sejmy heski, badeński, wirtemberski, pomimo wniosków centrowców w parlamencie i obietnic hr. Posadowsky'ego. Chyba, że rząd rzeszy chciałby w ten sposób wywołać pozór poważnego postępu na polu prawodawstwa pracy, który dziś jeśli w Niemczech się odbywa, to tylko bardzo powolnie w formie drobnych ulepszeń i różnych wykonawczych rozporządzeń rady związkowej...

K. Krauz.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Przeoczona wojna.

Wojna na Dalekim Wschodzie, pełna grozy i ofiar, zaćmiła inną, która współcześnie toczy się w Europie środkowej, z wynikami bardziej rozstrzygającymi. Mianowicie rząd prusko-niemiecki, rozporządzający w czasie pokoju armią z 613,000 żołnierzy, wyzwał naprzód do boju nauczycieli Polaków za używanie języka ojczystego w stosunkach rodzinnych i prywatnych. Zaraz po pierwszym ataku bezbronni poddali się na łaskę i niełaskę zwycięzcy. Obecnie z tego samego powodu uderzył on na oficyalistów kolejowych i pierwszą z nimi potyczkę w Bydgoszczy wygrał. Nie stawili oni również żadnego oporu i przyjęli wszystkie warunki kapitulacyi. Znakomici strategowie, zwłaszcza angielscy, wyrzucają im brak męztwa. Jest to zarzut niesłuszny. Ani bowiem nauczyciele, ani oficyaliści kolejowi nie mogli rozwinąć siły, którąby odpowiadała potędze militarnej Prus. Nadto oświadczyły one w parlamencie przez usta kanclerza i ministrów, że nie ustąpią i muszą pokonać wroga; gdyby bowiem pozwoliły, ażeby stu urzędników rozmawiało z żonami, dziećmi i znajomymi po polsku, od tego mogłoby się rozpaść w gruzy państwo wraz z Siegesallee i wszystkimi pomnikami Hohenzollernów w Berlinie. A to przecież nie bagatela!

g.

Materyał do kupletu.

Bardzo obawialiśmy się o los posła śląskiego, Korfantego, któremu jakoby miano już wskazać drzwi w Kole polskiem, ale na szczęście polityk z *Gazety Polskiej* obronił go tak pięknie i tak skutecznie, że sławnemu mężowi, który przez dwa lata zajmował naszą uwagę swojem małżeństwem, nie grozi już chyba żadna kara. P. Korfanty „był członkiem organizacyi społeczno-demokratycznej— powiada *Gazeta*.— W społeczności polskiej w Prusach jest to zarzut bardzo poważny. Demokracya społeczna jest tam wrogiem *tak samo niebezpiecznym* i tak samo zwalczanym, *jak hakatyzm*.“ Dziś zbłąkany baranek wrócił do owczarni. „Wszyscy rozsądni mogą tylko pragnąć tego gorąco, aby każdy zdolny człowiek śród demokratów społecznych postąpił tak samo, jak Korfanty, aby wyłamał się z więzów bezpłodnej doktryny i poświęcił swe siły pracy prawdziwie obywatelskiej.“

To jest dopiero ślicznie powiedziane! A jaki przepyszny, udaną powagą przejrzyście osłonięty humor! Artykuł ten, przeczytany w dniu zaduszek na cmentarzu, mógłby wywołać śmiech chóralny. Nie wiemy, ile p. Cz. ma lat i jakiem cieszy się zdrowiem; ale życzymy mu, aby dla wesołości ogólnej żył jak najdłużej. Powtórzmy sobie jeszcze raz: „Demokracya społeczna jest w Prusach wrogiem tak samo niebezpiecznym (dla polskości), jak hakatyzm.“ Czy podobna, ażeby z tego klasycznego wyrażenia nie zrobiono kupletu w jakiejś operetce?

h.

Garść wiórów.

Poczciwy reporterek, jak on się zdziwił! Dla marnej „garści wiórów“! Ktoby uwierzył! „Wyrobnik mularski, 60-letni Józef Wróbel, padł, jak się okazało, ofiarą *własnej nieostrożności*. Pragnąc nabrać wiórów na opał do domu, szedł do miejsca robót ciesielskich po wązkiej desce, narzuconej na świeżo założone belki. Deska przechyliła się i Wróbel spadł o piętro niżej, odnosząc szwanki śmiertelne.“ Tak, kochany Wróblu, sam sobie jesteś winien. Czy to potrzeba było łazić po kruchej desce dla garści wiórów? Domyślamy się, cobyś odpowiedział: że twoja żona nie miałaby przy czem ugotować ci kolacyi. Naprzód nieprawda, bo przecie w Warszawie jest dosyć składów węgla. Powtóre gdyby nawet go zbrakło, to znowu są restauracye, gdzie można zjeść wieczerzę lepszą, niż w domu. Potrzecie, gdyby ci się nie chciało wyjść skutkiem zmęczenia całodzienną pracą, to mogłeś sobie obstalować jedzenie telefonem. Zważywszy to wszystko, wyznajemy, że twoja chęć zdobycia garści wiórów była dziwaczną i niczem nieusprawiedliwioną fantazyą, za którą zapłacisz kalectwem lub życiem.

Czy dobrze wytłomaczyliśmy myśl twoją, szanowny reporterku?

d.

Duncanizm.

Wiadomo, ze po każdym koncercie lub operze wybucha w naszej prasie jakiś dziki wrzask niezgodnych z sobą sądów sprawozdawczych, między którymi literalnie każdy wszystkim innym przeczy. Podobnego widoku daremnie szukalibyśmy w jakiejkolwiek innej dziedzinie krytyki. Pomimo jednak, żeśmy się z nim oswoili i już trudno nas zadziwić, musimy przyznać, że opisy występów Izadory Duncan przeszły wszystko, co w tym kierunku u nas zdziałano. Dość powiedzieć, że „estetycy,“ „badacze sztuki“ przez tydzień spierali się o nagie stopy, łydki, kolana i uda tancerki, filozofowano nad jej „żywszymi ruchami,“ przy których „prezentowała nagie ciało do pasa,“ nad jej „odsłonięciem w skokach bez trykotów,“ nad jej „anglosaksońską budową,“ ktora w dolnej połowie „była dostatecznie ujawniona, ażeby ją należycie ocenić“ itd. Wszystko to opowiedziano publicznie, wyraźnie, w najpoczytniejszych pismach, przez moralistów, którzy ostro napominają śpiewaczki operetkowe za podniesienie sukienki o cal wyżej, niż Rozyna z „Cyrulika“ i którzy połowę sztuk graliby w teatrach przy zamkniętych drzwiach wyłącznie dla mężczyzn. Scena mycia robotnika przez żonę w „Germinalu“ Zoli była sielankowym obrazkiem w porównaniu z temi recenzyami. *On avait toute honte bue.*

Naturalnie, że można „tańczyć“ sonaty i preludya, to najbardziej ograniczonym wydało się tak jasnem, jak tabliczka mnożenia. „Muzyka Beethovena — oznajmia p. Gralon w *Gońcu* — nadaje się równie dobrze do tańca, jak muzyka Chopina lub Glücka. I. Duncan rozumie wielkich mistrzów i potrafi ich dzieła uszanować.“ Gdyby chociaż wszyscy na to zgodzili się, mielibyśmy przynajmniej harmonijne głupstwo. Ale gdzie tam! „Zrozumiała wreszcie publiczność — twierdzi *Kuryer Codzienny* — że najpiękniejsze pozy i nawet najlepszy taniec nie wystarczy do interpretowania genialnych utworów muzycznych. Przekonała się łatwo, że Duncan sama dobrze nie rozumie ani Chopina, ani Beethovena.“ Niedość tego. Jak gdyby dla uwieńczenia tej piramidy bzdurstw w tych samych dziennikach (np. w *Gońcu*) jedni współpracownicy uważają I. Duncan za bezwstydną szalbierkę, której występy „powinny być policyjnie zakazane,“ drudzy za „wielką artystkę.“ Ładne „światła narodu“! *n.*

Powitanie.

Pisma codzienne niedawno przyniosły nam wiadomość, że wydane zostały koncesye na pierwszy u nas w języku litewskim tygodnik w Petersburgu i dziennik w Wilnie.

Niezależnie od wszelkich tendencyj i kierunków, którym mają hołdować nowe wydawnictwa, witamy je, jako pierwsze jaskółki nowej wiosny dla języka i kultury bliskiego nam i od wieków związanego z nami narodu. Witamy całą duszą, serdecznie, życząc szybkich postępów i rozwoju prasy oraz literatury litewskiej, zmartwychwstającej po kilkudziesięciu latach letargu.

Pierwsze przebłyski samodzielności w tej dziedzinie spotykamy w okresie reformacyi: utwory tego czasu noszą charakter religijny i kościelny; ośrodkami ruchu wydawniczego były Królewiec i Wilno, skąd wyszli pierwsi pionierzy literatury: Marcin Massovidius, Bartłomiej Villantius i Jan Bretkunas. Od r. 1547 do 1701 ledwie około 60 wydawnictw naliczyć można, w XVIII stuleciu już przeszło 100 książek opuszcza prasy drukarskie; liczba ta wzrasta do 1,200 przeszło w wieku XIX (do 1901 r.). Pierwszą połowę tego stulecia można uważać za okres rozkwitu literatury litewskiej. Ks. biskup Wołonczewski, Baranowski, Paszkiewicz, Staniewicz, Drozdowski, Aksalewicz („Chłop z pow. Mariampolskiego“), bracia Juszkiewicze i wielu innych pracuje usilnie na tem polu.

Pierwszem pismem był założony w 1849 roku „Keleiwis“ (Pielgrzym), po r. 1864 cały ruch wydawniczy ześrodkował się w Prusach i Ameryce, gdzie ogółem wychodziło przeszło 30 czasopism. Najbardziej znanem z nich była założona w 1883 r. przez ks. Basanowicza „Auszra“ (Przedświt“).

Nowym towarzyszom pracy przesyłamy serdeczne powitanie. *J. D.*

Lekarze szpitalni.

Dość na czasie niektóre pisma poruszyły sprawę stosunku lekarzy szpitalnych do osób, tam się leczących. Naturalnie są pewne wyjątki dodatnie, lecz ogółem biorąc, stosunki te nie wyszły jeszcze z czasów pańszczyźnianych: „Cicho być i kwita“ — oto ogólne hasło różnych ordynatorów, asystentów itd. Na progu szpitala pozostawia się „wszelkie sentymenty,“ „szersze na świat patrzenie,“ „różnego rodzaju demokratyzmy“ itd. i między chorych wchodzi się jako automat naukowy. W teoryi można dziś rozprawiać o ważności poczucia psychicznego w wszelkiego rodzaju chorobach, lecz w praktyce szpitalnej na to niema czasu. Nikt nie przeczy, że szczególniej młodzi lekarze są tam zawaleni robotą. Lecz to ich nie usprawiedliwia. Nawet chyba z punktu czysto lekarskiego niewolno drażnić chorych złem obchodzeniem się z nimi. Znamiennym jest fakt, który się zdarzył w jednym ze szpitalów warszawskich. Choremu po operacyi w nocy zrobiło się niedobrze. Zażądał miejscowego lekarza. Ten, przyszedłszy, przedewszystkiem uznał za stosowne nawymyślać mu „od ostatnich,“ jak się to u nas w Warszawie mówi. Na drugi dzień przeprosił go, a usprawiedliwienie było charakterystyczne: „nie spostrzegłem, że to — pan.“

Przecież nawet wśród naszej kastowości przyjął się frazes: dla lekarza są wszyscy równi. A młodzi lekarze toć to wczorajsi studenci, którzy tak głośno i szumnie mówili o postępie, równouprawnieniu. Sądzę, że ci z nich, którzy jednocześnie z mundurem nie zrzucili z siebie poczucia obowiązków społecznych, powinni na tę nienormalność zwrócić uwagę i zmusić „popędliwych“ kolegów do podniesienia poziomu poczucia obywatelskiego i pewnej etyki w stosunku do chorych. *c.*

Burza w szklance wody.

Do liczby częstych u nas burz w szklance wody, przybyła jeszcze jedna— walka wyborcza w Towarzystwie kredytowem miasta Warszawy. Do chwili wyborów było cicho, ani zwolennicy dyrekcyi, ani jej przeciwnicy nic podnosili głosu w prasie. Nie wytykano żadnych błędów, nie rozpatrywano zbyt gorliwie potrzeb Towarzystwa. Nagle wybucha fajerwerk. Z jednej strony ogólnikowe zarzuty, niezawierające najmniejszej wskazówki co do błędnego jakoby postępowania dyrekcyi (protest rozesłany redakcyom) z drugiej kontragitacya, wezwanie do obowiązku obywatelskiego, wyciąganie bratniej dłoni i tym podobne frazesy, również nic nie mówiące (odezwa koła właścicieli domów). Takie walki wywołują u osób postronnych tylko wrażenie farsy. Ani w proteście, ani w odozwie sentymentalnej nie przedstawiono jasno, o co idzie, wobec czego mamy prawo przypuszczać, że to są tylko osobiste sprzeczki, którym interesowani usiłują gwałtownie nadać znaczenie sprawy ogólnej. *r.*

Salony artystyczne.

Często daje się słyszeć, że kultura artystyczna u nas się podnosi, że rozszerza się i pogłębia potrzeba wrażeń estetycznych. W istocie pewne fakty potwierdzają to przypuszczenie. Lecz na drodze owego rozwoju zamiłowania piękna stają ciągłe przeszkody w postaci wysokich wydatków na te potrzeby. Co do muzyki, przedstawienia i koncerty popularne jako tako ratują położenie. Inaczej rzecz się ma w malarstwie. Salony nasze artystyczne istotnie ożywiają się coraz bardziej. Lecz cena wejścia, przeciętnie 40 kop. wynosząca, jest bardzo wygórowana i sprawia, że liczba zwiedzających wystawy mało wzrasta. Wstęp do salonów w Paryżu opłaca się 1 fr., a na wystawy niemieckie 1 mar., lecz są tam bezpłatne muzea rządowe i... bezpłatne wystawy prywatne. Naturalnie nie można przenosić tamtych stosunków na nasz bruk. I dlatego właśnie należy zniżyć opłatę za wejście, aby szerszym warstwom dać dostęp do sztuki. Korzyści materyalne przedsiebiorców nie ucierpiałyby na tem z pewnością. Dziś stałe odwiedzanie wystaw jest stanowczo za kosztowne dla przeciętnego człowieka inteligentnego.

BADANIA NAUKOWE.

Dzieje wielkiej gospodarki rolnej

W ANGLII.

Złożoność i zawiłość życia współczesnego sprawia, że każde zagadnienie, wyłaniające się z głębin na powierzchnię, staje się zaraz całem zbiorowiskiem zagadnień poszczególnych, tak dziwnie nieraz z sobą splątanych, że trudno orzec, gdzie spoczywa punkt ciężkości całej sprawy. A od niego przecież zależy postawienie tego pytania zasadniczego, na które odpowiedź daje nam do ręki bądź możność rozwiązania dręczącej zagadki, bądź nadzieję rozproszenia ciemności z naddróżyn, których bieg dotąd wątpliwy chcielibyśmy poznać dokładniej.

Za taki to punkt ciężkości dla kwestyi rolnej uważaną była dotychczas sprawność wytwórcza gospodarstw różnej wielkości. Podczas gdy z jednej strony dowodzono, że możność stosowania podziału pracy, maszyn, lepszego wyzyskania budynków i zwierzęcych sił roboczych daje gospodarstwom wielkim naturalną przewagę techniczno-produkcyjną nad małymi, potęgowaną jeszcze przewagą handlowo-kupiecką, strona druga pieczę, jaką chłop-właściciel otacza te żywe organizmy, których hodowla stanowi treść procesu produkcyjnego gospodarstw rolnych, uważała za moment dostatecznie ważny, by zeń wysnuć jak najdalej idące wnioski. Fakt ten, że organizmy, z którymi gospodarka wiejska ma do czynienia, wymagają indywidualnej niemal opieki i troskliwości, do której drobny gospodarz, dbały aż do umiłowania o swą własność, jest zdolny w daleko wyższej mierze, niźli najmita, którym się wielka gospodarka posługiwać musi, ma być rękojmią ostatecznego zwycięztwa własności chłopskiej. Cyfry, dostarczane przez statystykę, świadczące o rozwoju liczebnym małych gospodarstw, zostały ogłoszone za zwiastuna tego zduszenia kapitału przez pracę, które zdaje się być w tak rażącej sprzeczności z rozwojem stosunków na polu przemysłowem. Tłomaczenie strony przeciwnej, że ów rozwój liczebny jest tylko objawem wzrastającej proletaryzacyi chłopa, proszkowania się własności rolnej na działki tak drobne, że właściciele pracować muszą, jako najmici w wielkich dobrach lub fabryce — niewolnicy przykuci do rydwanu wielkiego kapitału, mając za sobą wiele pozorów prawdy i słuszności, nie dawało dostatecznej pewności naukowej. Dochód z gruntu tejże samej wielkości różnym bowiem bywa, zależnie od tego, czy się na nim rodzi pszenica, truskawki, czy też tulipany, czy jest to płat czarnoziemu, czy też piasku i gliny, a nawet czy szkółka ludowa jest w pobliżu, czy też całkiem jej niema.

A tymczasem zwolennicy „zdrowej“ własności chłopskiej przebywali myślą w urodzajnej, wysoce kulturalnej Bawaryi, którą znów z niechęcią mijali prorocy szybszego rozwielmożenia się elektryczności i maszyny wśród łanów zbożowych; ci szli spocząć aż w Missouri lub Kalifornii, podczas gdy ogromnie uprzemysłowioną Belgię odwiedzali chętnie „wrogowie“ chłopstwa, widzący w ciągłem rozdrabnianiu się i tak już niewielkich działków chłopskich dowód ich zaniku, jako odrębnej kategoryi ekonomicznej. Wśród takiej pogoni możność porozumienia stawała się coraz trudniejszą. Każda polemika, wszczynana nad owem zagadnieniem zasadniczem „wyższo-

ści" danej formy gospodarczej, rozpatrywanem w oderwaniu od miejsca i czasu, a zatem stawianem przez każdego tam, gdzie spodziewał się znaleźć najodpowiedniejszy dla powziętej z góry tezy rozkład światła i cieniów, kończyła się — i to w najlepszym już razie — wzbogaceniem kwestyi o parę nowych faktów lub punktów widzenia. Na drodze do celu piętrzyły się nowe przeszkody, odsuwając go coraz dalej.

Świeża praca o powstaniu i upadaniu wiejskiej gospodarki rolnej w Anglii dr. H. Levy'ego *), który już był poprzednio parę prac drobniejszych o gospodarce rolnej w Anglii ogłosił, daje w historycznem opracowaniu zagadnienia, na *jednem podłożu* wśród zmieniających się warunków zewnętrznych, tę właśnie możność porozumienia się co do treści pojęć, która dotychczas niemało nastręczała trudności, a co najciekawsze, przesuwa punkt ciężkości całej sprawy. Nie wyższość absolutna pewnej kategoryi gospodarstw, ale ich zdolność przystosowania się do jakości popytu, zależnego od całokształtu stosunków gospodarczych, wśród których polityka handlowo-celna danego kraju wyłania się jako czynnik najgłówniejszy, uważana jest przez Levy'ego za owo istotne zagadnienie, którego zrozumienie i rozwiązanie stwarza silny punkt oparcia, dozwalający pchnąć naprzód całą kwestyę.

Aż do lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia zdawało się, że „kwestya rolna" dla Anglii już nie istnieje. Od połowy XVIII wieku wielka gospodarka rolna robiła ciągłe postępy, aż w końcu uznaną została nietylko za charakterystyczną, ale i za formę jedynie odpowiednią dla angielskiego rolnictwa. Można było czytać o tem u teoretyków-agraryuszów XVIII stulecia. Wiek XIX przyjął naukę tę w puściznie i dalej ją posunął. A rzeczywistość obficie dostarczała faktów na poparcie tych teoryj. Od r. 1750 do 1880 wielkie gospodarstwa wzrastały ustawicznie kosztem małych — więc też zdawało się, że techniczno-ekonomiczna ich przewaga stoi po za obrębem wszelkich sporów.

Zmieniło się to w ostatniej ćwierci minionego stulecia. Rozwój wielkich gospodarstw zatrzymał się i wkrótce dało się zauważyć, że małe i średnie zaczynają je wyprzedzać. Wprawdzie i teraz jeszcze z ogółu wziętej pod uprawę ziemi na gospodarstwa najmniejsze (1—100 akrów) przypada tylko 28%, na średnie (100—300 akrów) 42%, a na największe (powyżej 300 akrów) 30%, ale przecież statystyka lat ostatnich od 1885—1895 wykazuje znowu *znaczny* przyrost gospodarstw najmniejszych, *spory* średnich, a *ubywanie* największych. Z pomiędzy najmniejszych zyskały na tym przyroście tylko większe (od 20 do 100 akrów), podczas gdy gospodarstwa karłowate (od 1/4 do 20 akrów) znacznie zmalały. Cyfry te świadczą niezaprzeczenie, że w rolnictwie angielskiem istnieje silna tendencya ku t. zw. „zdrowej" gospodarce chłopskiej, dającej kierownikowi-dzierżawcy lub właścicielowi za pracę własną i rodziny dostatnie wzamian utrzymanie. Równocześnie zaś z tem nowem kształtowaniem się stosunków zachwiała się dotychczasowa wiara angielskich teoretyków oraz praktyków w absolutną wyższość wielkiej gospodarki; dogmat poddano rewizyi, dla której tworzenie się wielkich przedsiebiorstw rolnych musiało stanowić naturalny punkt wyjścia.

Historya gospodarcza Anglii opowiada o powstawaniu licznych wielkich przedsiebiorstw rolnych już w XV wieku, w czasie zatem, gdy ogromne zyski, jakie dawał chów owiec, skłaniały bogatych właścicieli ziemskich do skupywania ziemi chłopskiej. Ale były to wyłącznie pastwiska, służące do produkcyi wełny, których nie można utożsamiać ze współczesnem, wielkiem gospodarstwem rolnem, służącem dla produkcyi środków żywnościowych. Zdaje się nawet, że przeważna część owych wielkich przedsiebiorstw z dawniejszej epoki rozpadła się potem na drobne, które z początkiem XVIII w. napotykamy już w przeważającej liczbie.

Według zgodnego świadectwa współczesnych, drobne te gospodarstwa rolne, pozostające bądź w ręku właściciela, bądź dzierżawcy, nie wytwarzały wcale zboża na sprzedaż. Dostarczały za to sporo bydła rogatego, świń, drobiu, jarzyn, owoców, mleka, masła i jaj, podczas gdy dzierżawcy dóbr wielkich stronili od tych gałęzi wytwórczości, jako żmudnych i mało dla nich zyskownych, oddając się wyłącznie uprawie zbóż. Długi szereg lat urodzajnych utrzymywał przytem cenę najważniejszych gatunków zbóż między rokiem 1720—1750 na nizkim poziomie, tak że robotnik, wydając teraz mniej ze swego zarobku na chleb i mąkę, mógł w większej mierze urozmaicić swój pokarm. Mimo znacznych premij na wywóz zboża, ilość rolnego pola nie zwiększała się wcale. Dzierżawcy wielkich dóbr oraz ich właściciele częściej się skarżyli, niż mali gospodarze, którzy na swoje wytwory znajdywali zbyt pewny i dobry.

W drugiej połowie XVIII wieku uległy te stosunki nagłej zmianie. Począwszy od lat sześćdziesiątych aż do końca wojny z Francyą w r. 1815, zapanowała w Anglii chroniczna prawie drożyzna tych właśnie środków żywności, których taniość tak błogą była w swoich skutkach dla ogółu ludności. Od r. 1765 do 1791 wypadło tylko parę lat rzeczywistego urodzaju, a zmniejszona podaż zboża krajowego była tem dotkliwszą, że trzeba było zaspokoić zapotrzebowanie szybko wzrastającej ludności. Z kraju wywożącego zboże stała się Anglia wkrótce krajem kupującym je. Ceny zaczęły się podnosić. Stan ten zaostrzył się jeszcze z wybuchem wojen francuskich. Od r. 1792 do 1815 zbiory były nader liche, ludność znów znacznie wzrosła, a polityka Napoleona utrudniała regularny dowóz zboża. Po latach dobrobytu nastąpiła epoka płac głodowych, wśród której zamiast wyrazu „robotnik" zaczęto używać wyrazu „biedak pracujący." Cena siły roboczej podniosła się wprawdzie z podrożeniem zboża i chleba, ale w nierównej mierze, dlatego też siła kupcza ludności roboczej zmniejszyła się niesłychanie, a wraz z nią i popyt na mięso, drób, jarzyny i nabiał. „Biedak pracujący" musiał poprzestawać na suchym kawałku chleba, który najczęściej, mimo dnia wypełnionego ciężką pracą, zawdzięczał łaskawym datkom gminy, dopełniającym szczupłej jego płacy do możności utrzymania się przy życiu. Drobne gospodarstwa traciły szybko swoich odbiorców, podupadły, natomiast ujawniła się prawdziwa gorączka uprawy zboża, zwłaszcza zaś pszenicy. Najbujniejsze pastwiska zamieniono na pola orne, jeśli tylko dawały one nadzieję lichego bodaj plonu pszenicy. Uporczywy nieurodzaj wraz z odciętym przez wojnę dowozem zapewniał tak wysokie ceny, że dla hodowli zboża, zaniechano wszystkich innych gałęzi wytwórczości wiejskiej. Wielki dzierżawca bogacił się, drobny gospodarz tracił rynki dotychczasowe, a zamieniając swój drobny skrawek ziemi na rolę, tracił wszystko, co dawało mu dotychczas możność utrzymania się wobec gospodarstw kapitalistycznie prowadzonych. Jego pilność i pieczołowitość, jego intensywna praca, wyzyskiwanie siły roboczej rodziny, tak ważne w hodowli bydła, gospodarce nabiałowej, w codziennem zaopatrywaniu najbliższych rynków w jarzyny, owoce lub jagody, straciło zupełnie na znaczeniu w produkcyi zboża, rozpadającej się na parę czynności mechanicznych, dających się z łatwością zastąpić pracą najemnika, a nawet maszyny. Wytwarzając to samo, stawał mały gospodarz do nierównej walki z wielkim, któremu kapitał dawał możność lepszego użyzniania ziemi, a lepszy przegląd rynku zapewniał sprzedaż korzystniejszą — ta walka musiała zakończyć się dlań klęską. Więc też i wielkie, zboże uprawiające gospodarstwa rolne w Anglii między rokiem 1760—1815, wskutek zmian zaszłych w kierunku popytu, rozwinęły się świetnie, małe zaś równocześnie zanikły.

Długie lata nieurodzaju zmusiły nawet tych drobnych gospodarzy, którym dotychczas plon własny wystarczał na zaspokojenie potrzeb własnych i rodziny do kupowania zboża. Drożyzna dawała im się bezpośrednio we znaki, o pokryciu zaś straty zwiększoną produkcyą innych wytworów trudno było myśleć wśród ogólnego zastoju i zubożenia. Przejście zaś do uprawy zboża na sprzedaż było utrudnione, bo stale lichy plon tylko gospodarstwom większym dawał wystarczającą ilość ziarna na potrzeby własne i cudze. Grunta chłopskie często były rozrzucone na wielkiej przestrzeni, nieraz właściciel 100 akrów miał tylko po 2, 3 leżących obok siebie, co uniemożliwiało gospodarkę racyonalną. Komasacya zaś wymagała pieniędzy i długich zachodów.

(D. n.)

Helena Gumplowicz.

*) Dr. Herman Levy: „Entstehung und Rückgang des landwirtschaftlichen Grossbetriebes in England." Berlin, 1904.

LITERATURA I SZTUKA.

ZE SZTUKI.

„Śród bomb i kartaczy" T. Berges'a. — Wystawy graficzne.

Stanąłem w Salonie Krywulta przed wielkim obrazem T. Berges'a.

Figury ludzi walczących i zabitych plączą się z majaczącymi zarysami budynków. Z lewej strony czuje się wysoki teren i te bliskie domy, szczelnie ograniczające niewielką przestrzeń jakiegoś zaułka, z prawej zaś przeciwnie—jakby rozległa równina, widziana z punktu wysokiego i ciągnąca się aż do samego horyzontu, z za którego wschodzące słońce rzuca kilka silnych promieni, rozbiegających się po obrazie.

W pierwszej chwili nie mogę zrozumieć tych sprzeczności. Wreszcie dopomaga mi tytuł: „Śród bomb i kartaczy." Tak... to nie słońce — to bomba pękająca! Zaczynam odpędzać powracające ciągle wrażenie jakiegoś horyzontu, który ze względu na piętrzące się domy widzianym być nie może. Powtarzam sobie dziesiątki razy: to nie słońce i nie daleki widnokrąg, to pękająca bomba i wreszcie powoli zaczynam w to wierzyć. Nic dziwnego, że nie poznałem, bo nigdy jeszcze blizko mnie bomba nie pękła. Zdaje się, że i autor obrazu jest w tem samem położeniu.

Lecz i na niewidzianego można sobie w przybliżeniu wyobrazić taką scenę. Oprócz ogłuszającego huku — blask oślepiający, a co za tem idzie, wszystkie przedmioty muszą przy nim zniknąć lub przedstawić się, jako nieokreślone, ciemne sylwety. Obraz nie jest jednak zdjęciem migawkowem. Nie powinien on dokumentować rzeczywistego stanu rzeczy, a dawać powtórzenie naszego wrażenia, choćby ono było nawet błędnem. Zmysły zaś nasze, notując

wypadki bardzo szybko po sobie następujące, zlewają je w jedno wrażenie, nieodróżniając dobrze, co było wpierw, co—jednocześnie, a co — później. Choć więc artysta musiał naprzód widzieć ludzi walczących, następnie został oślepiony bombą pękającą, a wreszcie dostrzegł w ogólnych zarysach natychmiastowy rezultat tego wybuchu, to jednak te trzy momenty mogły wywołać w jego umyśle wspólne wrażenie czegoś jednolitego. W każdym razie musi on tak odtworzyć tę scenę, żeby i widz otrzymał wrażenie jednolite, a tego obraz Bergèsa nie daje.

Wybuch bomby nie budzi wiary, że to bomba. Rozrywa się ona w płaszczyznie obrazu, zatem tylko na boki, gdy prawdziwa rozrywałaby się w przestrzeni, napełniając ją kurzem, dymem i piaskiem. Blask i dym powinnyby zasłonić wszystko, ale wtedy przepadłaby i kompozycya, a pozostała notata samego efektu świetlanego. Bergès namalował nie sam wybuch, lecz jakby początek wybuchu i jednocześnie jego skutki. Taka *licentia artificis* bywa niejednokrotnie stosowaną i takeśmy do niej przywykli, że nawet jej nie dostrzegamy.

Siła, która podczas wybuchu wybija wszystkie szyby w sąsiednich domach, porywa w górę i przewraca ciężkie przedmioty oraz ludzi, ta sama siła może poszarpać w kawałki wszystko, co jest za słabe, ażeby jej stawić opór. Nic więc dziwnego, że główna bohaterka została podrzucona w powietrze i wszystkie fałdziste części ubrania zdarte niemal bez śladu. Dało to pole artyście do namalowania postaci kobiecej w bardzo fantastycznej pozie i w jeszcze bardziej ekscentrycznej tualecie. Trzeba przyznać, że jest to jedyna dobra postać w obrazie, który widocznie cały dla niej powstał. Jednak przy tej robocie autor zbytnio się zapuścił w szczególiki, nawiasem mówiąc, bardzo zręcznie traktowane, a zapomniał, że taka postać na tle jaskrawego wybuchu może się zarysować zaledwie sylwetkowo, jako ciemna, jednolita plama, tembardziej, że ruch gwałtowny, jakiemu podlega, nie pozwala zauważyć żadnych szczegółów. Tymczasem artysta przedstawił wszystko, co dałoby się wypatrzyć tylko u spokojnie pozującej modelki, po za którą stałaby lampa, a nie potężny blask wybuchu: okrągłość nóg, cienkie jedwabne pończochy, odszycie stanika, nawet oczy bielmem zachodzące. Za to inne postaci widocznie nie miały łaski u malarza, potraktował je bardzo szablonowo i fatalnie narysował.

Obraz malowany jest z pewną dozą oryginalności, ale jednocześnie z rzucającem się w oczy efekciarstwem i usiłowaniem wywołania sensacyi nie akcyą dramatyczną, lecz raczej pikantnością sytuacyi. Trudno uwierzyć, żeby robił sensacyę w przeszłym Salonie paryskim, jak o tem zapewniali niektórzy krytycy warszawscy.

* * *

Tak na wystawie Krywulta, jak i w gmachu Tow. Sztuk Pięknych mamy większe wystawy graficzne artystów cudzoziemskich.

Sztuka graficzna rozpada się na trzy główne i najbardziej typowe grupy: akwafortę, litografią i drzeworyt. Pokrewnemi z akwafortą są: akwatinta, staloryt i miedzioryt.

W akwaforcie wykonywa się rysunek na blasze miedzianej, w litografii na płycie kamienia litograficznego, a w drzeworycie na desce z drzewa bukszpanowego. Różnorodność materyału daje pole do najrozmaitszych kombinacyj i odmiennych sposobów technicznych.

Nie wnikając w szczegóły, można powiedzieć w ogólnych zarysach, że w akwaforcie rysunek wykonywa się przez pokrycie blachy miedzianej mnóstwem sztrychów, przypominających zwykły rysunek piórkiem. Sztrychy te jednak są wgłębione, co osiąga się przez wygryzania (wytrawiania) powierzchni kwasem, a w miedziorytnictwie—żłobienie jej rylcami stalowymi. Po skończeniu pracy płytę miedzianą pokrywa się (nadaje się) zapomocą miękiej poduszeczki warstwą farby drukarskiej, która wciska się w najmniejsze zadrapania płyty (kliszy). Pozostałą farbę usuwa się z powierzchni. Gdy na tak przygotowanej kliszy położymy zwilżony arkusz mięsistego papieru i umieścimy wszystko razem pod prasą, to papier wtłoczy się we wgłębienia kliszy, zabierając stamtąd na siebie wszystką farbę drukarską.

Przy robieniu drzeworytu postępuje się odwrotnie. Rysunek wykonany na gładkiej deseczce, sklejonej z kawałków drzewa bukszpanowego, krajanego w poprzek słoju (na sztorc) wycinamy za pomocą rylców, żłobiąc ją wgłąb i usuwając wszystko, co w odbitce ma pozostać tłem białem. To, co nie było tknięte rylcem, przedstawia się, jako mnóstwo kresek, między któremi są rowki, czyli miejsca wgłębione, wycięte rylcem. Farbę drukarską nadaje się za pomocą walca, który wala tylko miejsca wypukłe, a nie może się dostać do wyciętych wgłąb. W ten sposób prasą odciskamy na arkuszu papieru tylko te wypukłe kreski, które otrzymały farbę.

Kamienia litograficznego wcale się w głąb nie ryje, lecz przy pomocy tłustego tuszu litograficznego oraz kwasów dzieli się jego powierzchnię na miejsca, z których jedne przyjmą tłustą farbę drukarską, a drugie nie. Na kamieniu litograficznym można rysować bądź kredką, bądź piórkiem. Wszystko, co nie zostanie pokryte sztrychem kredki lub piórka, podlega wykwaszeniu (spreparowaniu), wskutek czego farba drukarska już tam nie przystaje. Na papierze odbija się w podobny sposób, co drzeworyt.

Drzeworyty i litografie można drukować ręcznie, każdy egzemplarz pod osobistym dozorem autora, zmieniając bądź zabarwienie, bądź siłę tonu, i wtedy odbitka będzie miała cechy artystyczne. Można też razem z tekstem drukować je na pospiesznych maszynach drukarskich, dających po kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy na godzinę.

Z akwafortą tak się nie postępuje. Każda odbitka musi być wykonana ręcznie i z pewną umiejętnością artystyczną.

Rysunek litograficzny odbijany ręcznie pod kierunkiem samego autora, nazywamy autolitografią. Jeśli takiej odbitce nadajemy różne barwy, to wówczas nazywamy ją autolitografią barwną. Ten ostatni sposób wprowadzony jest od niedawna, gdy litografie kolorowe, odbijane na maszynach, znane były wcześniej i stanowią bardzo tani wyrób przemysłu.

O tem wszystkiem ogół naszej publiczności nie wie i skądżeby wiedział, kiedy jeszcze przed paru laty nie można było namówić zarządów naszych wystaw do pokazania światu jakiejś kolekcyi utworów graficznych? Uważano to za krok bardzo ryzykowny i niemal kompromitujący ściany wystaw sztuki! Jakże żądać od ogółu, by znał się i gustował w sztukach graficznych, kiedy niektórzy „znawcy od wszystkiego,“ w celu urządzenia naganki i zawstydzenia biednej publiczności, że się nie interesuje obecną wystawą graficzną i nie rozumie tego, co sprawia rozkosz każdemu znawcy, wpadają w sztuczne ekstazy nad wystawionemi pracami i sypią takimi kwiatkami: „nie sposób wytłomaczyć ludziom, że co innego ilustracya w tygodniku, a co innego akwaforta artystyczna.“ Ogół sądzi, „że to są wycinki z pism ilustrowanych— to obrazek i tamto obrazek.“ No i okazuje się, że ten „ciemny“ ogół instynktownie jest bliższym prawdy, niż krytyk, na zimno mdlejący z upojenia. Ogół ma racyę, twierdząc, że „i to obrazki i tamto obrazki.“ Wiele prac z obecnej wystawy graficznej służyło jako „obrazek“ w pismach ilustrowanych. Wogóle całe drzeworytnictwo jest skazane na to, żeby dostarczało „obrazków“ do różnych tygodników, tak jak litografia dostarcza „obrazków“ do etykiet, kalendarzy ściennych lub pudełek do proszków.

Lecz jak już powiedziałem, odbitka drzeworytnicza lub litograficzna może być równie dobrze dziełem sztuki, jak wyrobem przemysłu. Dobry drzeworyt z tygodnika mógłby być niewątpliwie dziełem sztuki i niema potrzeby nad nim się natrząsać, nazywając go z lekceważeniem „obrazkiem,“ tylko że tygodnik z przyczyny kosztów produkuje go w sposób przemysłowy, a nie artystyczny. Ale gdyby redakcya dla każdego prenumeratora odbijała ten drzeworyt ręcznie na specyalnym, kosztownym papierze, nie zadrukowując go z drugiej strony tekstem, to drzeworyt ten „z obrazka w tygodniku“ stałby się prawdziwem dziełem sztuki. I najczęściej tak bywa, że artysta-drzeworytnik, wykonawszy pracę po nad przeciętny szablon redakcyjny, robi z niej dla siebie kilkanaście odbitek ręcznych na papierze chińskim, a następnie dopiero oddaje do drukarni, gdzie na prasie pospiesznej odbijają wraz z tekstem w tysiącach egzemplarzy. Pierwsze odbitki były dziełem sztuki, następne—produktem drukarskim niewielkiej wartości.

To samo dzieje się z litografią i stałoby się z akwafortą, gdyby znaleziono sposób pospiesznego ich drukowania. A i dziś jedna odbitka ręczna może się szalenie różnić od innej, otrzymanej z tej samej kliszy.

Dodam jeszcze kilka słów o samej wystawie sztuk graficznych w Towarzystwie Zachęty.

Zbiór jest rzeczywiście bogaty. Dużo nazwisk znanych i słynnych, sporo dzieł sztuki, ale wystawa taka miałaby wtedy dopiero prawdziwe znaczenie, gdyby była dla naszego ogółu szkołą poglądową, uczącą go odróżnić dobrą reprodukcyę od złej, litografię od akwaforty, akwafortę od akwatinty itp., tymczasem w zbiorze, który oglądamy obok odbitek dobrych, mamy szeregi reprodukcyj niewątpliwie też starannych, ale należących już do wydawnictw czysto spekulacyjnych, sklepowych, jak np. cykl Klingera. To też cała ta wystawa ma charakter trochę sklepikarski. W katalogu przy żadnym tytule nie znajdujemy określenia rodzaju pracy, ale zato przy każdym rzuca się w oczy cena w rublach i kopiejkach. Wprawdzie obrazy na wystawie mają wypisaną cenę, co innego jednak dzieło sztuki — unikat, a co innego odbitka tysiączna, którą tak samo mogę kupić w Zachęcie, jak i u antykwaryusza.

Jeśli te prace zgrupowano w salonach wystawy, to jedynie w celu pouczenia naszego nieprzygotowanego ogółu, a nie dla ułatwienia właścicielowi korzystniejszego ich zbycia. Ceny są wprost bajeczne w porównaniu z praktykowanemi za granicą.

Czy z zadaniem Towarzystwa Zachęty licuje popieranie handelku cudzoziemskiemi akwafortami i odciąganie i tak już skąpego grosza od kupna dzieł artystów polskich?

Można to było zostawić sklepom antykwarskim, a wreszcie jakiemuś przedsiębiorcy prywatnemu, który zajmuje się sztuką nie dla celów szerszych, ale przedewszystkiem dla własnego zarobku.

Gdyby choć strona pedagogiczna była uwzględniona!

Jak się nią zajęli niedbale, za dowód może posłużyć drobny na pozór fakcik, że na *litografiach* niemieckich Fischera i Thomasa umieszczano wielki napis: „*akwaforty angielskie*“! I jakże w ten sposób nasza publiczność może się wreszcie nauczyć, co to jest litografia a co akwaforta i odróżniać wartość artystyczną jednego „obrazka“ od drugiego?

Sierp.

NOWE KSIĄŻKI

— W. Nałkowski: **Dookoła Alp**, str. 56.

Autor przedsięwziął swą podróż z celem naukowym, mianowicie chciał „sprawdzić poglądowo swoje pojęcia geograficzne, zyskać porównawcze podstawy w zjawiskach krajów obcych dla oceny zjawisk kraju własnego.“ Umysł pierwszorzędnej siły i rozległej wiedzy porusza się wśród zwiedzanych obrazów natury ze swobodą, wprawą i ogromną znajomością rzeczy, do której nie przywykliśmy w naszej literaturze podróżniczej, czerpiącej swą erudycyę z Baedeckera, jeśli nie z palca. Opisy naukowe przeplata p. N. refleksyami często dowcipnemi a zawsze godnemi uwagi. Mówi on np.:

„We Fryburgu musimy się zatrzymać, więc zwiedzamy to miasto, które tak w ostatnich czasach zasłynęło uczonością polsko-katolicką. Naturalnie, musimy oświecać biedną Szwajcaryę... aby z czasem mogła się poszczycić równie wielkim procentem analfabetów, jak nasza katolicka Galicya. Nauka, powiadają, powinna być katolicka; a więc katolicka geologia: potop zalał całą ziemię, aż po szczyty najwyższych gór —Suess, który twierdzi przeciwnie, jest heretykiem. Katolicka astronomia: ziemia jest płaska i stoi w miejscu — dzieło Kopernika zostało potępione przez Kościół itd.

— Wogóle zauważyłem, że w miarę, jak z kraju Niemców zagłębiamy się w kraj Francuzów, w kraj latyńskiego południa, znika prostota, systematyczna czystość, ale i maszynowość; wzmaga się żywość i piękność mieszkańców, ale zarazem brud i bezład; coraz częściej pojawiają się piękne kobiety, zakonnice, księża i wojskowi — a na noclegach pluskwy.

Z Evian przyjemny widok na jezioro, gdyż patrząc na nie, mamy słońce z tyłu. Eleganckie damy z high life'u z nieodstępnymi jezuitami, zabijają czas łowieniem na wędkę drobnych rybek; najęci chłopcy zakładają im na haczyki przynętę, a następnie zdejmują złapaną rybkę i rzucają na suchy żwir na męczarnie. Jeden jezuita „stał milczący na stronie,“ śledził z chciwością poruszenia pływaka, sam zdejmował złapane rybki i wkładał do czarnego worka. Ten wyraz chciwości oznaczał jednak, jak się zdaje, tylko miłość dla sztuki, gdyż jak to widać z tutejszych fotografij, księża zmuszeni jeść ryby w post, krzywią się niemiłosiernie.

Opisując cmentarz w Genui, powiada:

— Gdyby kiedyś na ziemi zjawił się taki rodzaj istot, którvby pokonał śmierć i cierpienie — gdyby ono zniknęło, nie mogło być poznawane bezpośrednio, to istoty podobne mogłyby na takich cmentarzach badać paleontologię cierpienia... Nigdy nie zajdzie ani potrzeba, ani nawet możność takiego badania: najtrwalsze pomniki, najtwardsze głazy w proch się rozsypią, a cierpienie wiecznie żyć będzie — ono jest tem „złotem drzewem życia,“ co się „wiecznie zieleni i wiecznie rozwija.“

Nad brzegiem morza takie snuje refleksye:

— Czy bezskutecznie ta fala za falą uderza w brunatny ląd i ginie? — Nie: każda z nich swem uderzeniem wywołuje zmianę niewidzialną, drobną, nieprawdopodobną do jej wielkiego wysiłku; ale przez lat miliony, przez fal miliony, te drobne skutki sumują się, wyolbrzymiają i całkowicie zmieniają oblicze naszej planety, zmieniają wciąż i bez końca. Te drobne, niewidzialne skutki, te bezsilne napozór ataki są ewolucyą ziemi: one ją popychają ku celom nieznanym: Takiemi falami są duchy walczące.

Może ludzkość powróci kiedyś do życia nomadycznego — naturalnie nie w znaczeniu niewolniczej zależności od natury i bydła, lecz odwrotnie: w znaczeniu pokonania przyrody, pokonania odległości przez udoskonalenie środków komunikacyi; w znaczeniu pokonania globu, zerwania więzów, przykuwających dzisiejszego człowieka do miejsca, zacieśniających jego horyzont zarówno przestrzenny, jak i umysłowy, zabijających myśl i energię jednostajnością wrażeń. Wszakże już dziś Yankesi, którzy żyją daleko intensywniejszem życiem kulturalnem, niż my, którzy wydają na cele nauki i kultury daleko większe sumy, niż my na dewocye i paralityków, a zwłaszcza owacyjne bibki; i ludzie tak naprzód w kulturze wysunięci, prowadzą przez znaczną część roku na preryach i w „parkach“ życie nomadów pod namiotami, przenoszą się z miejsca na miejsce, uwalniając się tym sposobem od ciasnoty i swędu życia osiadłego, a zarazem czerpiąc nowe pobudki dla działalności umysłowej.“

— Dr. Ludwik Volkmann: **Wykształcenie artystyczne** (Kształcenie oka), str. 32. Warszawa. Tłom. z upoważnienia autora G. Simon.

„Przedmiotem dziełka — jak nas zapewnia sam autor — jest sprawa wychowania oka, w celach nadania mu zdolności jasnego i przedmiotowego *patrzenia* na dzieła sztuki i przyrody.“ I mówi dalej: „prawdziwie estetyczny pogląd na świat stać się musi niezmiernie silnym bodźcem moralnym, sądzę jednak, że nim przystąpimy do wychowywania ludzkości *przez* sztukę, wychować ją winniśmy *do* sztuki.“ — „Pierwszym i najważniejszym środkiem do zrozumienia sztuki musi być wykształcenie oka, zdobycie *umiejętności patrzenia.*“ — „Patrzenie nie jest aktem czysto mechanicznym, lecz w równej mierze czynnością intelektualną: dopiero przez świadome postrzeganie osiąga się właściwy cel patrzenia.“ „Kto zdołał posiąść zdolność chwilowego oddawania się bezwzględnemu patrzeniu, ten istotnie zapomina przytem o wszelkich innych sprawach; iluż to ludzi szuka odpoczynku duchowego w sztucznym środku gry w karty lub w pasyansach, gdy bez trudu mogliby znaleźć przeciwwagę dla nadmiernej pracy myślowej w patrzeniu!“

NA MARGINESIE

Niepoprawni samobójcy. E. v. Wolzogen w *Liter. Echo* zamieszcza następujące uwagi o małżeństwach artystów (według przekł. *Kur. War.*):

„Dziwne to, że właśnie artyści, a mianowicie poeci, w krótkim marzycielskim rozkwicie swej liliowej młodości stosunkowo często odkrywają, ubóstwiają i zaślubiają zera kobiece. „Aniołami miesięcznymi“ (*Monatsengel*) nazwałbym te niebezpieczne istoty, bo były one może niegdyś przez cztery tygodnie ładne, a nawet piękne, jako młodziutkie dziewczęta, i w tym właśnie czasie przypadek skierował na ich drogę takiego fantastę, który wymarzył sobie, że panienki te mają skrzydła u ramion i mianował je aniołami.

Ponieważ zaś artyści, a szczególniej poeci, są, jak wiadomo, o wiele głupsi, niż inni mężczyźni, o ile chodzi o rozsądne postulaty życia praktycznego, i ponieważ razem z tym rodzajem głupoty wzrasta także w równym stosunku ich dobroduszna uczciwość, i to posunięta niekiedy aż do wyżyn etycznego fanatyzmu, więc żenią się z „aniołami miesięcznymi,“ czasem nawet wtedy, gdy miesiąc ich już przeminął.

Wszystkie takie małżeństwa są przedziwnie do siebie podobne: Anioł bez ducha i temperamentu więdnie o wiele szybciej, niż każda inna piękna młodość, a rozwój postępowy jest u tej kategoryi kobiet zupełnie wyłączony.

Ich jedyny rozwój umysłowy polega na papuziem powtarzaniu kilku „inteligentnych“ zwrotów, którymi ustawicznie przy każdej właściwej i niewłaściwej sposobności się popisują, doprowadzając do rozpaczy męża. Myśleć i sądzić nie umieją oczywiście nigdy, a duchowe i moralne kwalifikacye swych małżonków taksują jedynie według zarobku, który oni przynoszą do domu, i według honorów zewnętrznych, które im świat oddaje. Przeciw biedzie umieją się tylko bronić płaczem i lamentem, a jeszcze marniej zachowują się w dniach świetności i dostatku, bo nie posiadają poczucia stylu i zdolności asymilacyjnych. Ośmieszają się niesmacznościami i przeszkadzają mężowi poruszać się swobodnie i wesoło w tem towarzystwie, które mu się należy.

Te anioły nie dają mężowi absolutnie niczego, ale żądają jako zupełnie naturalnej wymiany obowiązków, aby mąż tolerował wszystkie ich słabostki i głupstwa, aby dochował im wierności niezłomnej i przyznał pełny udział w swojem zaszczytnem stanowisku towarzyskiem. Ta kategorya kobiet nie jest nigdy zadowolona, bo nie ma dość humoru, aby małe przeciwności i wielkie niedoskonałości istnienia znosić z uśmiechem. A zazdrosny jest zawsze ten... rodzaj. I nic dziwnego, bo taka pani wie doskonale, że to, co zdaniem jej nazywa się zadośćuczynieniem obowiązkom małżeńskim, nie może być identyczne z ekstazami, z których wytryskuje źródło każdej najwyższej sztuki. I dlatego nienawidzi ona każdej inteligentnej i w jakimkolwiek kierunku wybitniejszej kobiety, która się zbliża do jej małżonka. Dlatego prześladuje go ustawicznie podejrzeniami, szpiegowaniem i bezzasadnemi łzami lub wybuchami wściekłości.“

Z PRASY.

— *Goniec* przytacza następujące rozumowanie *Torg. Prom. Gazety* w sprawie rewidowania robotników fabrycznych:

„Od dawien dawna zakorzenił się w naszych zakładach fabrycznych zwyczaj, że robotnicy, wychodzący z fabryk, bez względu na płeć i lata, poddawani bywają szczególnej rewizyi przez umyślnie do tego delegowanych stróżów fabrycznych. Procedura ta odbywa się w trojaki sposób:

W niektórych fabrykach podlega jej tylko część robotników i robotnic, w innych wszyscy wychodzący, lecz na terytoryum fabrycznem; w większej zaś liczbie stróże, ustawiwszy się szeregiem po za bramą zakładu od strony ulicy, starają się wyczuć rękami kontrabandę fabryczną, bez względu na tłum, ciekawie przyglądający się tej budującej operacyi.

Od rewizyi nie są wolni ani ludzie nieposzlakowanej uczciwości, ani uczciwe kobiety, ani też wyrostki, na których zepsucie nie zdołało jeszcze wyryć swego piętna. Taka jest strona moralna poruszonej kwestyi, bo ze względów prawnych nie ma ona żadnej podstawy. Prawo (art. 357 krym. proced. karnej) wyraźnie zastrzega, że rewidowanie robotników może mieć miejsce tylko w wypadkach wyjątkowych, za każdorazowem pozwoleniem władzy rządowej i to przez urzędników specyalnie do tego wydelegowanych.

Administratorowie fabryk często powołują się na wyjaśnienie Senatu (post. Senatu z 1870 r., nr. 520), które orzeka, że ponoszący stratę wskutek kradzieży ma prawo zatrzymać podejrzanego o jej spełnianie i odesłać go do policyi lub sędziego pokoju. A przecież samo podejrzenie o kradzież nie jest jeszcze stratą materyalną i nie upoważnia bynajmniej do osobistej rewizyi setek lub nawet tysięcy ludzi.

Rewidowanie kobiet przez stróżów, prócz tego, że jest w wysokim stopniu niemoralnem, nie jest też zgodnem z przepisami prawa. Podług bowiem art. 322 krym. proced. karnej, „rewidować kobiety mogą tylko... zamężne kobiety.“

Co się zaś tyczy praktycznej strony sprawy rewidowania robotników, to w całej prawie Europie zachodniej od dawna już przyszli do przekonania, że procedura ta nie przynosi żadnej korzyści fabrykantom i jest bezcelowa — zniesiono ją też od dawna. W praktyce przeciwnie okazało się, że po zniesieniu rewizyj

fabrycznych, w tych nawet zakładach, gdzie wyrób drobnych a cennych przedmiotów usposabiał bardzo do kradzieży, czyniąc ją łatwą i bezkarną, wykroczenia ze strony robotników zdarzają się nader rzadko. W każdym razie ilość kradzieży narzędzi fabrycznych i wyrobów od chwili skasowania rewizyj nie powiększyła się, a niepotrzebnie zaostrzony nieraz stosunek pomiędzy administracyą a robotnikami znacznie się poprawił."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Senat wyjaśnił, że nabywca na licytacyi majątku tylko wtedy uznany być winien za właściciela, gdy prawo własności będzie zatwierdzone przez władze sądowe. Jeżeli nabywca przekaże, przed zatwierdzeniem tytułu własności, swe prawa osobie trzeciej, to odbywa się nie dwa, lecz tylko jedno przejście prawa własności i ta jedna tylko tranzakcya podlega opłacie podatku stemplowego i rządowego.

— Z Łomży piszą do *Warsz. Dn*: „W niedzielę, dnia 9 października, o godz. $9^1/_2$ wieczorem, tłum rzemieślników (rzeźników), uzbrojonych w kije i noże, po libacyi w jednej z restauracyj na Starym Rynku, wyruszył przez ulicę Dworną do środka [illegible] w pobliżu soboru, spotkawszy jakiegoś szeregowca-służącego, zaczął go bić. Na hałas i krzyk nadbiegł przechodzący w pobliżu kapitan ołonieckiego pułku piechoty Cz., a następnie z poblizkiego klubu oficerskiego dragonów wybiegło kilku oficerów. Pochwycili oni przewódcę bandy, gdy reszta uczestników napadu i awantury rozbiegła się. W liczbie rannych jest i oficer Cz., który otrzymał cios kijem, czy nożem w głowę."

— Robotnikom polskim, zatrudnionym w warsztatach kolejowych w Bydgoszczy oraz zamiataczom ulic zakazano nietylko mówić po polsku, lecz nawet czytać gazety polskie.

— Tow. hakatystów wydało odezwę, wzywającą rząd do zamknięcia Towarzystwa pomocy naukowej im. Marcinkowskiego.

— Lwowska rada miejska uchwaliła kredyt 20,000 koron na uroczystość odsłonięcia pomnika Mickie[illegible]

— W Kopenhadze ogłoszono odezwę do narodu duńskiego, podpisaną przez 1,400 osób, wzywającą do składek na pomnik prof. Nielsa Finsena i na fundusz na cele naukowe i humanitarne, odpowiadające dążeniom zmarłego badacza.

— Według ostatniego spisu ludności w cesarstwie indyjskiem na przestrzeni 1,244,612 mil. kwadr. ang. mieszka 117,458,190 osób, w tej liczbie 2,923,241 chrześcian.

Szkoły i wychowanie. W *Kur. Warsz.* czytamy: Wydział ruchu kolei Nadwiślańskich oznajmił zarządowi politechniki warszawskiej, że według ogólnych spostrzeżeń, studenci tego zakładu, z małymi wyjątkami, mylnie zapatrują się na praktykę wakacyjną; utrzymują oni, że to czas ich odpoczynku i nie oddają się pracy, a przez to są tylko ciężarem dla kolei, która wydaje na nich znaczne sumy. Wobec tego zarząd kolei zmuszony będzie naprzyszłość ograniczyć liczbę studentów praktykantów i zmniejszyć przeznaczone dla nich wynagrodzenie.

— Przyspieszone zostały egzaminy praktyczne dla studentów V kursu wydziału lekarskiego w celu dostarczenia urzędom wojskowym w jak najkrótszym czasie wykazu lekarzy, opuszczających w r. b. uni[illegible]

— Studentom wyższych szkół w Jurjewie przywrócono prawo noszenia czapek korporacyjnych.

— Agentura Tow. „Kaukaz i Merkury" zaofiarowała studentom IV i V kursu uniwersytetu warszawskiego posady lekarzy okrętowych na morzu Kaspijskiem z pensyą 75—100 rb. miesięcznie, oprócz dyet i całko[illegible]

— W uniwersytecie noworosyjskim liczbę Żydów powiększono do 15%, oraz przyjęto nad normę 18.

— Do uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie zapisało się w r. b. 1,816 słuchaczów i słuchaczek.

— W ministeryum oświaty poruszono projekt upoważnienia władz naukowych do wprowadzenia w szkołach początkowych w miejscowościach z ludnością litewską, alfabetu łacińsko-litewskiego, zamiast rosyjsko-litewskiego, jeżeli się to okaże niezbędne ze względu na warunki miejscowe.

— Zniesione zostało ograniczenie, zabraniające uczniom szkół początkowych, niemającym 11 lat wieku, zdawania egzaminu ostatecznego w celu uzyskania świadectwa, dającego prawo do korzystania z ulgi 3-ej kategoryi przy powołaniu do służby wojskowej.

Zdrowie publiczne. Zmarły w Peszcie przemysłowiec Edmund Neuschloss zapisał dom oceniony na 300,000 koron i 100,000 kor. gotówki na sanatoryum dla suchotników.

— Gub. Samarską ogłoszono za dotkniętą epidemią cholery.

Literatura i prasa. W nr. 292 *Kur. Warsz.* czytaliśmy artykuł wstępny p. t. „Dziwolągi libret", oburzający się słusznie „na długi szereg rabusiów języka, świadomie lub bezmyślnie okradających go z największego skarbu — czystości." Jednocześnie niemal, bo w nr. 291, tenże sam *Kuryer* drukuje takiego ogłoszenie: *Najwięcej lubione cygary, Quo Vadis? Fabryki... itd.?* A może autor „Dziwolągów libret" zechce nam dać w dalszym ciągu artykuł p. t. „Dziwolągi ogłoszeń"?

— Pozwolono na wydawanie w języku litewskim: dziennika *Wilniaus Zinios* p. Wilensztejnowi w Wilnie i tygodników *Zietu wiskas Lajkrasztis* p. Kupczisowi Smiliowi i *Peterburgo Liajkrasztis* p. Antoniemu Smilgo w Petersburgu.

— Panna Janina Omeńkowska skazana została na 300 marek kary za artykuł o nowem prawie kolonizacyjnem, pomieszczony w *Gwieździe* bytomskiej.

Ze sztuki. P. L. Goldstand, czyniąc zadość woli zmarłego ojca, ofiarował Tow. Zachęty dwie rzeźby: grupę Cypryana Godebskiego oraz popiersie Sokratesa, wykonane przez prof. Antokolskiego.

Z muzyki. Zarząd Filharmonii warszawskiej ogłosił z funduszu im. Józefa Simpsona konkurs na pieśń jednogłosową z dowolnym tekstem polskim. Nagroda 200 rb., termin do d. 31 grudnia r. b.

Sprawy ekonomiczne. W celu zapobieżenia obniżeniu ceny, węgla skutkiem zmniejszonego popytu, kopalnie dąbrowskie postanowiły ograniczyć produkcyę i wydaliły kilkuset robotników.

— Przy ministeryum rolnictwa i dóbr państwa rozpoczęła zajęcie swe komisya w sprawie ułatwienia ziemstwom, stowarzyszeniom rolniczym i innym instytucyom, zainteresowanym w rozwoju przemysłu rolnego, organizacyi wykładów niedzielnych i pogadanek z zakresu gospodarstwa rolnego. Komisya rozstrzygnąć ma zagadnienie: w jaki sposób ustanowić dozór państwowy, któryby nie był hamulcem w rozwoju organizacyi pogadanek.

— W Płoniannch, pow. Makowskim, powstała spółka rolnicza, włościańska, p. n. „Dobrobyt," do której przystąpiło 50 osób z udziałami 10-rublowymi.

— Wyjaśniono, że katolicy-włościanie w kraju zachodnim mogą nabywać tylko grunta prywatne, skarbowe zaś — wyłącznie osoby pochodzenia rosyjskiego.

Poczta. Ogłoszono przepisy o dostarczaniu w Warszawie posyłek prywatnych wagi do 1 puda i wartości do 500 rb., z zastrzeżeniem że bezwartościowe i wartości do 200 rb. mogą być pozostawione za pokwitowaniem kogokolwiek z domowników, zaś powyżej 200 rb. — mają być wręczane tylko osobie, na której imię są adresowane. Otwierania przesyłek przez pocztylionów nie dozwala się pod żadnym pozorem. Za odniesienie do domu pobierana będzie opłata za posyłkę do 15 funtów wagi do 10 kop., powyżej 15 funtów — 20 kop. Jeżeli przesyłka nie została doręczona za pierwszym razem, to wyprawiana będzie po raz wtóry, gdy zaś i tym razem bezskutecznie, to wówczas zwrócona będzie do biura pocztowego centralnego i wydana za awizacyą, bez żadnej opłaty. Polecenie na awizacyi o przesłanie takiej przesyłki do domu wykonywane nie będzie.

— Ustanowiono wymianę przekazów pocztowych pieniężnych między państwem rosyjskiem a Anglią i Irlandyą do wysokości 10 funt. sterlingów.

Zmarli. Władysław Korzybski, autor prac z zakresu gospodarstwa rolnego, w Piotrkowie.

— Prof. Edmund Hardy badacz literatury buddyjskiej, w Bonn.

Odpowiedzi Redakcyi.

Studentowi. Nadesłanego listu nie pomieścimy. Nie ma w nim rzeczy nowych. Sprawa traktowana zbyt powierzchownie, polemiki wywołać nie może. Rękopis do zwrotu w Redakcyi.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 14 Октября 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.